



Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

GAZETA KRAKOWSKA

Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

Kraków • Nowy Sącz • Tarnów ■ 14, 15 X 1989 r. ■ Nr 240 (12645) ■ Rok XLI ■ Cena 100 zł ■ Wyd. 1,

Poselska debata na Wiejskiej

Indeksacja – czyli ile i komu?

WARSZAWA (PAP). Chyba żadna ze stron przy „okrągłym stole” nie przewidziała skutków indeksacji – oświadczone w piątek 13 bm. na Wiejskiej w poselskiej debacie, która kontynuowana będzie w poniedziałek, mimo że na ten dzień posiedzenie Sejmu nie było poprzednio planowane.

Rzecz w tym, że sejmowe komisje nie zakończyły swych prac nad rządowym projektem nowelizacji uchwalonej w lipcu ustawy indeksacyjnej. Platkowa dyskusja w izbie powinna ułatwić komisjom zajęcie ostatecznego stanowiska i przedstawienie go – w postaci sprawozdania – Sejmowi w poniedziałek. Komisje te zbierają się w sobotę rano i jeśli zajdzie tego potrzeba będą pracowały również w niedzielę.

Pierwszy w piątek wystąpił w Sejmie minister pracy i po-

lityki społecznej Jacek Kuroń, który przypomniał, że ustawa z lipca miała spełniać dwie funkcje. Pierwsza – to zapewnienie bezpieczeństwa pracownikom i ich rodzinom w warunkach inflacji. Druga –

miała sprawić, by nie następowyły żywiołowe indeksacje, którymi pracownicy (według swoich ocen wzrostu cen) wymuszają różnymi sposobami podwyżki płac. Jednak jedni –

muszą więcej, inni – ci zdyscyplinowani – nie otrzymują podwyżek wcale. Motywując konieczność nowelizacji indeksacyjnej ustawy – powiedział minister – wy-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

W Sejmie o płacach

(Janusz Hańderek komentuje z Sejmu)

Do manifestacji przed gmachem Sejmu zaczęliśmy się przyzwyczajać. Odbyszy się ich w przeszłości wiele – odbywają się i teraz. Jeżeli jeszcze niedawno z reguły demonstranci występowali pod sztandarami „Solidarności” – teraz organizatorami wicemów jest i chyba będzie inny. Ten „inny” to OPZZ.

Właśnie OPZZ zorganizowało wczoraj pokojową – używając znanej terminologii – demonstrację, postępując się transpa-

rentami z hasłami, których temperatura także jest nam znana z podobnych imprez sprzed kilku miesięcy, czy kilku lat. Zaczynamy zresztą niektóre hasła: „Mama z tatą pracują – dzieci wegetują”, „Pracę nie działa wstecz – mówiła starożytna solidarność”, „Wzywamy rząd do kontroli cen i zduszenia inflacji”, „Nie! – demagogom”, „Przez ustawiczne cen pod-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Przed Dniem

Edukacji Narodowej

Nauczyciele u prezydenta

WARSZAWA (PAP). Z okazji Dnia Edukacji Narodowej – święta ponad 1 miliona pracowników oświaty, grupa wybranych z nich w składzie 13 bm. do Belwederu. Uchonorowani oni zostali tytułami „Zasłużony nauczyciel PRL” oraz innymi odznaczeniami państwowymi. W uroczystości uczestniczył prezydent Wojciech Jaruzelski; obecni byli marszałkowie Sejmu – Mikołaj Kozakiewicz i Senatu – Andrzej Stelmachowski.

Tytułem honorowym „Zasłużony nauczyciel PRL” odznaczony został m. in. prof. Bolesław Faron – z WSP w Kra-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Warszawskie rozmowy premiera Szwecji

Podpisanie umowy o ochronie inwestycji

WARSZAWA (PAP). Zagadnienia stosunków dwustronnych, współpraca w sferze gospodarki i ochrony środowiska – to zasadnicze wątki rozmów, jakie przeprowadził 13 bm. przebywający z roboczą wizytą w Polsce premier Królestwa Szwecji Ingvar Carlsson.

Tego dnia, w godzinach rannych, premier L. Carlsson złożył wieniec na płycie Giebu Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Bezpośrednio po tej uroczystości, w gmachu Urzędu Rady Ministrów ze szwedzkimi



(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

9–14 listopada – wizyta H. Kohla w Polsce

Czy określona zostanie górna granica bońskiej pomocy gospodarczo-finansowej?

WARSZAWA (PAP). W sa Rady Ministrów Polskiej, dniach 9–14 listopada br. złoży oficjalną wizytę w Polsce kanclerz federalnej Republiki Federalnej Niemiec HELMUT KOHL na zaproszenie preze-

zeczni rządu Hansa Kleina poinformował, że zarówno tu, jak i w Warszawie ogłasza się datę 9 listopada jako po-

BONN (PAP). Na piątkowej konferencji prasowej w Bonn,

17 bm.

Posiedzenie Senatu

WARSZAWA (PAP). Prezydium Senatu postanowiło zwołać 9. posiedzenie Senatu Polskiej Rzeczypospolitej w dniu 17 października 1989 r. (wtorek) o godz. 14.00 w sali Kolumnowej Sejmu.

Porządek dzienny posiedzenia przewiduje:

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Spotkanie

Wałęsa – Ludwiczak – Józwiak

WARSZAWA (PAP). 13 bm. odbyło się spotkanie przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsy, prezesa NK ZSL Dominika Ludwiczaka i przewodniczącego CK SD Jerzego Józwiaka.

Wyrażono zaniepokojenie sytuacją społeczną. Podkreślono konieczność wzmocnienia działań zmierzających do osłony najsłabszych grup społeczeństwa.

Oceniono współpracę koalicyjną zwracając uwagę na znaczne niedociągnięcia w tej dziedzinie, szczególnie jeśli chodzi o prace nad formowaniem centralnej administracji państwowej.

Uznano konieczność poprawy informacji dotyczącej pracy rządu i przedstawiania społeczeństwu całej prawdy o stanie gospodarki. Podkreślono konieczność

W Belwederze o krakowskich zabytkach

W. Jaruzelski przyjął H. Jabłońskiego i K. Secomskiego

WARSZAWA (PAP). 13 bm. Wojciech Jaruzelski przyjął prof. Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa i Rady Fundacji Uniwersyteckiego Jagiellońskiego oraz prof. Kazimierza Secomskiego – przewodniczącego Rady Fundacji „Odnowa Zabytków Krakowa”.

Podczas rozmowy goście poinformowali prezydenta o pracach komitetu i fundacji oraz

przedstawili główne problemy związane z dalszą społeczną działalnością na rzecz zachowania i rewitalizacji krakowskich zabytków.

W. Jaruzelski z uznaniem odniósł się do dorobku oraz zamierzeń komitetu i fundacji. Jednocześnie wyraził głęboką troskę o stan architektonicznej substancji Krakowa oraz przeciwdziałanie istniejącym w nim zagrożeniom, zwłaszcza ekologicznym.

Biurow Interwencji Senatu: winien dyrektor! Komisja Rządowa: strajk jest nielegalny i bezzasadny

Strajk w Gołdapi

(Telefonem z Warszawy Janusz Hańderek)

Sprawa strajku w Romicim Kombinacie Rolnym w Gołdapi staje się – m. in. dzięki reportażowi Telewizyjnego Studia „Solidarność” coraz głośniejsza. Ostatnio, niezadowolony z siebie, strajkiem zajęło się senackie Biuro Interwencji i komisja powołana

przez Radę Ministrów, ministra rolnictwa, leśnictwa i gospodarki żywnościowej, prof. Czesława Janickiego, Komisja ministerialna sporządziła swoje sprawozdanie 7 października, a senackie Biuro Interwencji przedstawiło swą informację 11 października.

Zacytujmy najpierw fragmenty stanowiska rządowego: „Strajk na terenie RKR w Gołdapi jest nielegalny. Strajkuje ok. 10 proc. załogi w dwóch zakładach rolnych i

Kanada udzieli Polsce pomocy

LOS ANGELES (PAP). Rząd Kanady zapowiedział w czwartek, że udzieli pomocy gospodarczej Polsce i Węgrom.

Kanada udzieli Polsce i Węgrom subwencji w wysokości 18,7 mln dolarów (10,2 mln na pomoc żywnościową i 8,5 mln na rozwój prywatnego sektora gospodarczego). Rząd kanadyjski przystąpi również do negocjacji z Polską w sprawie przyznania krótkoterminowego kredytu w wysokości 17 mln dolarów na zaspokojenie

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Stanowisko Naczelnej Rady Spółdzielczej w sprawie rządowego

projektu ustawy

Niezbędne zmiany powinny być dziełem samych spółdzielców

WARSZAWA (PAP). Głównym tematem zebrania ogólnego Naczelnej Rady Spółdzielczej był rządowy projekt ustawy o zmianach w organizacji i działalności spółdzielni, uchwalono w tej sprawie stanowisko, w którym wyrażono m. in.:

Naczelna Rada Spółdzielcza,

która z mocy obowiązującego prawa jest zobowiązana do czuwania nad wszechstronnym i prawidłowym rozwojem ruchu spółdzielczego w Polsce, a także do reprezentowania go w kraju i za granicą, wnosi zasadniczy sprzeciw do formy, metody i trybu przygotowania i treści projektu ustawy

przyjętej przez Radę Ministrów w dniu 9 października 1989 r.

Podjęcie prac legislacyjnych w bardzo przyspieszonym trybie i bez jakiegokolwiek udziału przedstawicieli spółdzielczości doprowadziło do o-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

„Polagra '89”

Czy konsorcjum to jest to?

W ubiegłym roku podpisało umowę o zawiązaniu konsorcjum na rzecz rozwoju rolnictwa. Strona niemiecka zapowiadała transfer nowoczesnej technologii i praw, poczynając od naszynek. W are wchodziła także produkcja opryskiwaczy. I w jednym i drugim oświadczeniu pomysłowe wyniki, choć w skali jeszcze niewielkiej. Możliwość współpracy sądu, ale „hamulec” jest tu wcale nie małe, jest to bariera biurokratycznych, zaś najtrud-

niejsze są ograniczenia w możliwości finansowania transferu technologii. Z jednej strony duże i obciążające możliwości, z drugiej zaś biurokracja. Ponadto strona zachodniemiecka uważa za słabość programu działania konsorcjum pominięcie w pracach rolnictwa indywidualnego. Tu trzeba wyjaśnić, że rolnictwo powinno być najpierw zorganizowane w silne związki branżowe, gdyż tylko takie wchodzi w grę jako

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Radziecka pomoc wojskowa dla Nikaragui

WASZINGTON (PAP). Departament Obrony USA opublikował w czwartek raport w sprawie pomocy wojskowej, jaką otrzymywała w tym roku Nikaragua.

Raport stwierdza, że w ciągu pierwszych 9 miesięcy b. Nikaragua otrzymała pomoc wojskową w wysokości 410 mln dolarów. W 1988 roku całkowita pomoc wojskowa dla Nikaragui zamknęła się sumą 515 mln dolarów.

Departament obrony stwierdza, że w tym roku Związek Radziecki o 50 procent (w porównaniu z rokiem ubiegłym) zmniejszył pomoc wojskową dla Nikaragui. O 35 procent

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Nowe ceny samochodów

Maluch – 9, polonez – 20 milionów

W związku z dużym wzrostem cen surowców, materiałów i półfabrykatów oraz innych kosztów produkcji, z przyczyn niezależnych od producentów, jak również znacznym wzrostem kosztów sprzedaży (kursy dewiz, odsetki bankowe) niezbędne jest podniesienie cen detalicznych samochodów.

Ceny te z dniem 16 października 1989 r. wyniosą:

1. Fiat 126p 650 fi (face lifting) standard – 9 000 000.–

2. Fiat 126p 703 bis restylizing (standard) – 11 500 000.–

3. Fiat 126p 650 fi inwalidzkie – 6 000 000.–

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Nabożeństwo na Kremlu

MOSKWA (PAP). Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat w soborze Uspieńskim (dawny sobór Katedralny państwa rosyjskiego) na moskiewskim Kremlu odbyło się w piątek nabożeństwo. Duży tłum wiarynych zabytki sakralne Kremla miały status obiektów muzealnych. W katedrze Zaśnięcia Marii Panny byli w ciągu wieków koronowani carowie rosyjscy, jak też spoczywają tam prochy patriarchów rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Pierwsze do wielu lat nabożeństwo zostało odprawione w ramach obchodów 400-lecia ustanowienia patriarchatu w rosyjskim Kościele prawosławnym.

Start w 2001 roku, powrót w 2008

Projekt lotu na... kometę

BONN (PAP). W Muenster (RFN) odbyła się konferencja naukowa, na której specjaliści Europejskiej Agencji Kosmicznej (EAK) i Kraiowej Agencji Aeronautyki i Badania Przestrzeni Kosmicznej (NASA) omówili sprawy przygotowań do realizacji jednego z najśmielszych projektów kosmicznych – lotu stacji automatycznej na jedną z komet, z lądowaniem na jej jądrze, po drodze próbą jego materii i powrotem na Ziemię.

Jako cel niezwyklej ekspedycji kosmicznej, która otrzymała nazwę „misja Rosetta”, wybrano niewielką kometę, noszącą nazwę dwóch uczonych radzieckich – Cziurlunowa i Gierasimienki. Jej jądro – to zamrażnięta gazowo-py-

„Siódemka” ma się dobrze

WASZINGTON (PAP). Opublikowane przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy dane rozwoju gospodarczego świata w 1988 r. pokazują, iż bryzmy i pogłębiająca się nadala przepaść między najbogatymi a biednymi naszego padatu ziemskiego. Siódemka najbogatych, to w kolejności: Wytworzonego dochodu narodowego brutto: Stany Zjednoczone, Japonia, Republika Federalna Niemiec, Francja, Włochy, W. Brytania i Kana-

da. Dochód narodowy brutto w 1988 r. wyniósł w naszym kraju 4,807 mld dolarów, w Japonii – 2,843 mld, w RFN – 1,201 mld, we Francji – 947 mld, w Włoszech – 823 mld, w W. Brytani – 813 mld, w Kanadzie – 482 mld dolarów amerykańskich.

Siedem wspomnianych państw dało w zeszłym roku więcej niż połowę produkta światowej – 55 proc. Dla lepszego uziynsławienia

sobie powyższych danych trzeba pamiętać, że w państwach tych żyje tylko 12 proc. wszystkich mieszkańców naszej planety. W bankach i kasach tych 7 państw znajduje się obecnie 44 proc. światowych rezerw walutowych.

Na państwa te przypada również obecnie 69 proc. zadłużenia zagranicznego wszystkich krajów-dłużników na świecie.

Brunon Rajca

Jest dobrze!

Na miejscu dyrektora Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu nie byłbym mściwym i sprzedawcą „Gazecie Włocławskiej” – mimo że ta gazeta FSO – „polonez”. Nikomu niczego nie żaluję. Nie jestem też na tyle łepy, żeby nie widzieć kłopotów, trudności, w jakich przyszło nam pokonywać powściągnięte dni. Nadzwyczajna – co tu dużo mówić, anormalna sytuacja gospodarczo-ekonomiczna kraju zmusza obywatela do wielu wyrzeczeń i poświęceń. Trzeba o tym wszystkim informować konkretnie i otwarcie, jak to czyni minister Jacek Kuroń, nie zrzucając bez przemyślenia winy na poprzedników. Nie gorszego niż niedomówienia. Nieraz zdarzają się jeszcze przykłady niekonsekwencji. Mnóstwo pytań, które wprowadzają zamęt, w czym gustuje szlachetność OPZZ. Nie pomniejszamy ich pozmie efektownymi wystąpieniami, z których nic nie wynika. Inflacja – do końca roku – wyniesie 1000 proc. Informacja taka – kwestia moralności – można nawet szantażować. Tylko: co dalej? Na razie bony żywnościowe już dla 4,2 mln głodnych ludzi.

The hooligans i chuligani



Fot. Aleksandra Kluk

Do minionej srody uważano, że są najgorszymi kibicami w Europie i na świecie. Każdy wyjazd na mecze reprezentacji Anglii, czy drużyn klubowych kończył się bójkami, a w środkach masowego przekazu nie określano ich inaczej jak dzicz lub zwierzęta. Byli sprawcami jednej z największych tragedii w futbolu na Heysel. Panowało przekonanie, że nikt nie potrafił im dorównać w chamstwie i gwałtach. Teraz już wiemy,

że w naszym kraju, na obrzeżach kultury europejskiej, dochowaliśmy się równie „reprezentatywnie” grupy pseudokibiców. Głupota i zdzieleniem nie ustępują angielskim fanom, a ich marzeniem jest przerosnąć tamtych zła sława. Historia przyjazdu do Chorzowa kibiców brytyjskich na mecz Polska – Anglia zaczęła się 11 października. Płynąc promem na mecz ze Szwecji zdążyli oni kabiny i restauracje, tak że

prom nie nadawał się do użytku. Wielu kibiców zostało na tyłach mistel wycofanych do domu i nawet z daleka nie zobaczyli stadionu Rasunda. Niewielka grupka, która nie została wydalona ze Szwecji i mecz zobaczyła, tuż po zakończeniu gwizdka zaczęła demolować okoliczne kafełki i wywoływała regularne bijatyki z policją i spokojnymi kibicami szwedzkimi. Władze

(DOKOŃCZENIE NA STR. 6)

Ogłoszenia Ekspresowe

INSTALUJE anteny RTV. Telefon 84-03-31, gk-82969

"MALUCHA", 1988 — sprzedam. Adam Plekdo, Koźmiele Wielkie 83A, gk-82971

LIS srebrny i ryś — futra długie — sprzedam. Oferty 82983 "Prasa" Kraków, Wielopole 1.

UKŁADANIE film. terakoty. Ceny konkurencyjne. Tel. 11-68-72, wielopole 1, gk-82984

KUPIE łódź i sprzęt chłodniczy. Tel. 83-23-71, gk-82987

POŚREDNICTWO pryncipale do sprzedaży filmów i terakot, muszle, kłopoty, umywalki, łazienki. Tel. 83-23-71, gk-82988

FLIZY terakoty — sprzedam. Tel. 83-23-71, gk-82989

KRAKÓW Własnościowe, 63 m² — zamienie na Tarnów, Tarnów, tel. 31-42-43, T-81978

TRANSPORT 3 tony nadwozie zamknięte do REN lub z powrotem do 15 listopada — wykona Jan Musiał, 32-852 Debnio, Sułczyń 272, T-81989

KAROSERIE uzbudowana Flata 125 p. kombi, 1981 — taniu sprzedam. Mielkoda, Rabka, Sadecka 48, gk-82993

Rada Pracownicza

FABRYKI MASZYN ODLEWNICZYCH
w Krakowie, ul. Cystersów 16

ogłasza konkurs na stanowisko dyrektora

Warunki przystąpienia do konkursu:

- wykształcenie wyższe techniczne lub ekonomiczne
- staż pracy na stanowisku kierowniczym minimum 7 lat
- wiek do 50 lat
- złożenie koncepcji działania i rozwoju przedsiębiorstwa
- dobry stan zdrowia

Kandydaci zobowiązani są do dostarczenia następujących dokumentów:

- kwestionariusz osobowy
- odpis dyplomu ukończenia studiów
- opinia z ostatniego miejsca pracy
- życiorys

Kandydaci mają możliwość zapoznania się z materiałami dotyczącymi działalności przedsiębiorstwa w siedzibie przy ul. Cystersów 16, pokój nr 63.

Zgłaszanie ofert w terminie: 31.10.1989 r. w kopertach z napisem „konkurs” pod w/w adresem.

Komisja konkursowa rozpatrzy oferty i powiadomi kandydatów o terminie konkursu.

K-1188-GK

OKRĘGOWA DYREKCJA

GOSPODARKI WODNEJ
w Krakowie

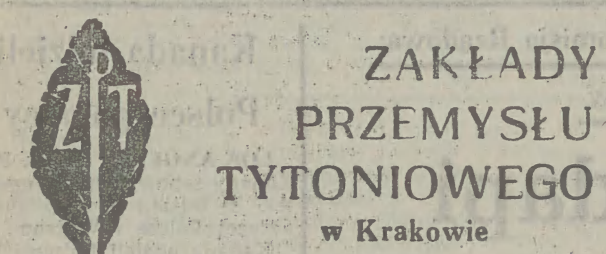
zatrudni natychmiast inżynierów hydrotechników

- z uprawnieniami budowlanymi (najchętniej małżeńskie)
- na stanowiska inspektorów nadzoru w terenowej jednostce organizacyjnej w Sandomierzu

Możliwość natychmiastowego otrzymania mieszkania.

Szczegółowe warunki pracy i płacy do uzgodnienia w siedzibie Okręgowej Dyrekcji w Krakowie, ul. Marniefa Lipowego 22, tel. 22-70-77, wewn. 35, pokój 235.

K-747-GK



ZAKŁADY PRZEMYSŁU TYTONIOWEGO
w Krakowie

ZATRUDNIĄ

- ◆ kobiety do prac pomocniczych i szkolenia w zawodzie maszynistki maszyn papierosowych
- ◆ mężczyzn do prac transportowych i magazynowych
- ◆ mechaników maszyn i urządzeń
- ◆ monterów maszyn i urządzeń
- ◆ wartowników w systemie pracy 24/24 godz.
- ◆ palaczy kotłowni parowych
- ◆ ślusarzy-fokarzy
- ◆ elektromonterów
- ◆ ustawiacza-nastawniczego
- ◆ maszynistów lokomotyw spalinowych
- ◆ specjalistów ds. inwestycji w zakresie budowlanym oraz instalacji sanitarnych
- ◆ absolwentów szkół zawodowych i techników

Wynagrodzenie na stanowiskach robotników niewykwalifikowanych wynosi ok. 210 tys. zł.

Dla pracowników zatrudnionych w oddziałach produkcyjnych zapewniamy zamieszkanie w kwaterek prywatnych lub hotelu pracowniczym.

Zgłoszenia: Dział Spraw Osobowych Kraków-Nowa Huta, al. Planu 6-letniego 152, tel. 44-73-33, wewn. 218, 387, Zakład Produkcji Wyrobów Tytoniowych Kraków-Sródmieście, ul. Dolnych Młynów 10.

K-869-GK

W pierwszą rocznicę śmierci

śp. prof.

JULIANA ALEKSANDROWICZA

odprawione zostanie nabożeństwo w środę 18 października 1989 r. o godz. 16 w kościele Franciszkanów, o czym zawiadamiają

ŻONA I PRZYJACIELE

Z głębokim bólem zawiadamiamy, że 8 października 1989 r. zmarł nieoczekiwanie, w wieku 61 lat

Sp.

lek. stom. JANUSZ GAŁECKI

wieloletni pracownik krakowskiej służby zdrowia, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Odznaką „Zasłużony pracownik służby zdrowia”, Złotą Odznaką „Za pracę społeczną dla miasta Krakowa” oraz wieloma innymi odznaczeniami cywilnymi i wojskowymi.

Odśwież Ciepłoci Wielkiej ofiarności i życzliwości, nasz ukochany Mał, Olecie, Dziadziusi i Teści. Uroczyste pogrzebowe odbędzie się we wtorek 17 października o godz. 11 na cmentarzu Rakowickim. Pozostała w bezgranicznym smutku

ŻONA z RODZINĄ

Bardzo prosimy o nieskładanie kondolencji.

Indeksacja — czyli ile i komu?

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

wy min. Kuroń poinformował, że w trzecim kwartale na skutek niesłusznego tempa cen wzrosły o ponad 104 proc., zaś płace w pięciu działach gospodarki narodowej — o 98 proc. Gdybyśmy teraz — dodał — nałożyli na to pełną indeksację (jak to przewiduje ustawa z lipca) nad rynkiem wybuchłaby „bomba” pieniędzy. Mielibyśmy do czynienia z gigantycznym przyspieszeniem cenowym, ze wszystkimi konsekwencjami gwałtowności przed wszystkim w tych najbabszych.

Następna mówczynią była w plakat pos. Maria Stojan reprezentująca trzy najbardziej zainteresowane komisje sejmowe. Nie ukrywała, że ich prace utrudnił bardzo niejasny tekst projektu nowelizacji. Komisje apelują zatem do rządu, by przedstawił posłom dokumenty bardziej „strawne”.

Dyskusje w podkomisji powołanej dla projektu nowelizacji koncentrowały się na proponowanych sankcjach za przekroczenie normatywnego poziomu wynagrodzeń oraz na sposobie obliczania indeksacyjnego wzrostu płac. Podkomisja ta zaproponowała wprowadzenie do rządowego projektu zmian w trzech sprawach. Jedną z tych zmian przewiduje, by zamiast zapisywania w ustawie kwoty najniższego wynagrodzenia — określić generalną zasadę ustalania tej kwoty. Chodzi o to, by w razie zmiany wskaźnika wzrostu cen nie zmieniać jeszcze raz ustawy — zaznaczyła przedstawicielka komisji.

Indeksacja okazała się narzędziem co najmniej zbytnim. Skutki, w dotychczasowej jej formie, stały się katastrofalne dla państwa i gospodarki. Płacowy wyścig przy spadku produkcji nieuchronnie prowadzi do spadku stopy życiowej. Również obecny projekt nowelizacji, to zaprzeczenie zdroworozsądkowych rozwiązań ekonomicznych.

Głosów takich, jak zacytowane wyżej, było sporo w piątkowej debacie w Izbie. Wiele jednak postów dochodziło do wniosku, że proponowane obecnie przez rząd zasady indeksacji są bardziej sprawiedliwe niż dotychczasowe.

Sprawy indeksacji i znalezienia rozwiązania związanej z nią u-

stawy wróca na forum Izby w poniedziałek.

Drugim tematem plakatowych obrad na Wilejskiej był projekt ustawy o krajowej radzie sądowictwa. Ścisłe biotrac — chodząco o dalszy ciąg pierwszego czytania tego projektu. Przed dwoma tygodniami przedstawił go Izbie min. sprawiedliwości Aleksander Benkowski. Posłowie jednak nie zgodzili się, by do tego o-

graniczyło się pierwsze czytanie i zażądali debaty. Odbija się ona właśnie w piątek. Generalnie poparto ideę powołania krajowej rady sądowictwa, podkreślono znaczenie jakie będzie miało we wzmożeniu niezależności sądów i niezłomności sędziów.

Wypowiedzi kilkunastu posłów dotyczyły różnych szczegółów rozwiązania przewidzianych w tym projekcie i pro-

pozycji ewentualnych ich modyfikacji. Zasygnalizujemy też podniesiony w poselskiej dyskusji problem, czy krajowa rada sądowictwa ma być organem samorządu sędziowskiego czy organem państwowym.

Dalsze prace nad projektem, nim znów powróci na forum Izby, toczyć się będą w sejmowych komisjach.

W Sejmie o płacach

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

wyzwanie, mamy przymusowe narodu odchudzanie”, „Magdalena urodziła nędzę” (Magdalena — podwarszawska miejscowość, w której odbywały się nieformalne rozmowy kierownictwa „Solidarności” i PZPR przed i w trakcie obrad „okrągłego stołu”).

Uczestnicy wczorajszej demonstracji na ręce marszałka Sejmu Mikołaja Gzackiego złożyli petycję, w której czytamy: „Lavinioy wzrost cen podstawowych artykułów żywnościowych powoduje drastyczne ograniczenie spożycia znacznej części grup pracowniczych, emerytów i rencistów.”

Następuje coraz większe rozwarstwienie dochodów. Polityka społeczna nie nadąża za pogarszającymi się warunkami bytowania — wielu rodzin, spychając je coraz bardziej na krawędź ubóstwa.

Związek zawodowy skupione w OPZZ wyrażają głębokie zaniepokojenie tymi faktami.

Uchwalone przez Sejm provizorium budżetowe na październik pozostawiło zakłady uprawnień do zaliczkowego wypłacania nagród z zysku. Zmniejszono tym samym możliwości rekompensowania wzrostu kosztów utrzymania. Rząd tego zamiaru z nami nie konsultował. Nastąpiło złamanie prawa.

W lipcu br. OPZZ wystosowało list do wszystkich posłów, zwracając uwagę na społeczne niebezpieczeństwo wynikające z propozycji zawartych w projekcie ustawy o indeksacji w wersji zaproponowanej przy „okrągłym stole”. Tak się stało.

W dniu dzisiejszym ta ustawa ma być zmieniona, choć nie zdążyła jeszcze wejść w życie. Przypominamy, że rozwiązanie zawarte w propozycji nowelizacji spowoduje m. in. zamrożenie w IV kwartale płac dla większości zatrudnionych, przy jednoczesnym wzroście cen. Nie uwzględniając konieczności comiesięcznego indeksowania płac w sferze waloryzacji emerytur, rent i świadczeń społecznych.

Społeczne skutki tych zmian obciążają po raz kolejny jedynie pracowników go-

spodarkę uspołecznionej, w niczym nie naruszając swobody powiększania dochodów sektora prywatnego.”

A w Sejmie na sesji plenarnej burzliwa debata na temat indeksacji. Minister Jacek Kuroń złożył przed Izłą samokrytykę. Stwierdził m. in., że jako poseł (jeszcze nie minister pracy i polityki społecznej) występował zdecydowanie za pełną indeksacją. Wówczas jednak się mylił, popełnił błąd, bo był — użyłmy słów ministra — mało kompetentny. Teraz kompetentny już jest, dlatego również zdecydowanie opowiada się za indeksacją wyrownawczą. Przyjęcie indeksacji pełnej (a więc tej w oparciu o ciagle obowiązującą w stałe) doprowadziłoby do „wybuchu bomby pieniędzy” — a w konsekwencji do jeszcze większych perturbacji na rynku i gigantycznego przyspieszenia wzrostu cen, nieproporcjonalnego do obecnego wzrostu, tak dobrze już nam znanego.

W wystąpieniu kilku posłów jasno artykułowano zarzut, że płace i dochody traktowane jako narzędzie rozgrywek politycznych. Tymczasem poziom życia obywateli to zbyt poważna sprawa, by wykorzystywać ją do celów partykularnych interesów różnych grup społecznych. Trudno się z takimi głosami nie zgodzić.

Pojawił się również postulat, by rząd przedstawił parlamentowi kompleksowe zasady polityki dochodowej państwa w odniesieniu do wszystkich obywateli. Chodzi o jasne powiedzenie jakie grupy społeczne i w jakim zakresie będą ponosiły koszty wychodzenia z kryzysu. Istnieją obawy, że większość kosztów poniosą pracownicy uspołecznionych zakładów pracy, gdy tymczasem sektor prywatny pomnażać będzie swoje dochody.

Jeszcze jeden głos. Moim zdaniem, wart odnotowania. Jeden z posłów stwierdził, że grozi nam, iż skok w gospodarkę rynkową może się nam tak samo nie powieść jak skok w socjalizm. Ostrzeżenie to rząd premiera Tadeusza Mazowieckiego powinien wziąć pod uwagę.

Wczoraj nie rozstrzygnięto sprawy indeksacji. Debata będzie kontynuowana w najbliższy poniedziałek.

JANUSZ HANDEREK

Czy określona zostanie górna granica bońskiej pomocy gospodarczo-finansowej?

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

czątek oficjalnej wizyty kanclerza w Polsce. Szczegółowy program wizyty jest jeszcze w opracowaniu. Klein dodał, że wszystkie sprawy merytoryczne związane z podróżą zostały już między obiema stronami uzgodnione i wyjaśnione, z wyjątkiem — „jak się wydaje” — starego pytania, czy o określona zostanie jakaś konkretna, górna granica kwotowa bońskiej pomocy gospodarczo-finansowej dla Polski (dotychczasowe życie w Warszawie), czy też poprzestanie się na formule nieograniczone-

go kwoty wspierania gwarancjami rządowymi polskich projektów gospodarczych, jeśli uzyskają aprobatę obu stron. Głównie ta sprawa wywołała najwięcej pytań dziennikarzy. Klein wyjaśnił więc, że chodzi tu jedynie o odmienny sposób postępowania, a więc bardziej o sprawę techniczną, lecz Bonn nie chciałaby być przedstawiane jako „zaprzysięgły przeciwnik” ustalenia górnej granicy. Bonn uważa, że formula ta jest dla Warszawy korzystniejsza, lecz nie chciałaby również czynić z tego jakiejś głównej kości nie-

zgody. Między obu stronami istnieje bowiem, globalnie rzecz biorąc, harmonia w ocenie spraw będących przedmiotem wizyty. Na pytanie, czy minister finansów Waigel zaaprobował porozumienie dotyczące spraw finansowych, rzecznik Ministerstwa Finansów odparł, pośrednio, że wbrew woli ministerstwa, decyzyjne takie zapadać nie mogą, a poza tym Waigel podczas warszawskiej konferencji Międzynarodowego Funduszu Walutowego zadeklarował życiwe podejście do sprawy.

Korespondent agencji ADN zapytał, czy kanclerz będzie uczestniczył w imprezie „związków wypędzonych” i czy przeciwstawi się na niej opublikowanemu właśnie przez „związek wypędzonych” programowi rewizjonistycznemu wobec Polski. Klein odparł, że Kohl weźmie udział w imprezie i poradzi korespondentowi, by najlepiej sam udał się tam i posłuchał co kanclerz powie.

Część dziennikarzy zachodniemieckich wyraziła w pytaniach także obawę, iż przeciąganie się rozwiązania problemu uchodźców z NRD, być może nawet do wizyty kanclerza, mogłoby psychologicznie zaciążyć na tej wizycie. Rzecznik nie ukrywał, że sprawa zaczyna być kłopotliwa. Przestrzegając jednak przed jej demonizowaniem.

Z dalekopisu

CO ĆWICZA STATYSTYC

(m) Po Budapeszcie zaczęła krążyć plotka: — „znów wznoszą pomnik Stalina”. Okazało się, iż rzeczywiście generalissimus (w całej) okazał się stałym na dawnym miejscu.

Zaniepokojenie mieszkańców rozwiła informacja zawieszona na rusztowaniach: „dekoracja do filmu”. Tutaj bowiem kręcono sceny do nowego obrazu znanego reżyserki Marty Messaros o powstaniu ludowym w 1956 roku.

ODZYSKANIE SKRADZIONEGO OBRAZU RENOIRA

Odnaleziono olejny obraz Renoira skradziony 4 października z Muzeum Sztuk Pięknych w Brukseli. Ukryto go w przewoźnym wentylacyjnym w jednej z toalet.

Obraz o niewielkich rozmiarach 18x16 cm, przedstawiający kobietę w neogłaz wyodróżnioną tyłem, została wylicyła z rami brzością. Nie wiadomo, jaki jest stan odzyskanego obrazu. W toalecie znalazł go jeden z pracowników muzeum.

Towarzysze

KRYSTYNIENOWOSIELSKIEJ

wyraża głębokiego współczucia z powodu śmierci MEZA składają

KOLEJNY KOLEJNY

z K PZPR KRAKÓW-NOWA HUTA

Niezbędne zmiany powinny być dziełem samych spółdzielców

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

pracownia projektu ustawy z naruszeniem fundamentalnych zasad obowiązującego w naszym państwie prawa i deklarowanej przez preza Rady Ministrów w exposé zaszadzie, że rząd budować będzie państwo na fundamentach prawa. Uchwalony przez RM projekt ustawy w sposób rażący zasądzie tej precyzji. Metoda opracowania projektu ustawy, uniemożliwia Naczelnej Radzie Spółdzielczej skonsultowanie projektu w środowiskach spółdzielczych. Projekt ten nie bierze pod uwagę opinii i propozycji przesyłanych już uprzednio do Rady Ministrów i Sejmu PRL, stanowiąc doradczą likwidację struktur spółdzielczych w trybie administracyjnym, z naruszeniem

zasad demokracji, prawa własności i uprawnień do samostanowienia oraz ochrony spółdzielczości gwarantowanej obowiązującą Konstytucją PRL.

Projektowana ustawa gwałci zasady ochrony własności spółdzielczej — jak i prawny tryb dysponowania tym majątkiem. Jest to równoznaczne z zaborem części mienia grupowego, któremu Konstytucja PRL gwarantuje szczególną ochronę. Stanowi więc niedopuszczalną ingerencję w prawo własności — dotychczasowych właścicieli i budzi musi brak zaufania — co do nienaruszalności prawa własności, a także spowodować musi wystąpienie do Trybunału Konstytucyjnego.

Naczelna Rada Spółdzielcza

domaga się odłożenia projektu ustawy do czasu, gdy planowany na grudzień br. kongres polskiej spółdzielczości będzie mógł zająć stanowisko wobec całości zagadnień związanych z nowelizacją prawa spółdzielczego. Niezbędne zmiany powinny być dziełem samych spółdzielców.

W końcowej części zebrania przewodniczący NRS Kazimierz Barcikowski zwrócił się z prośbą o zwolnienie z obowiązków przewodniczącego NRS.

Ogólne zebranie Naczelnej Rady Spółdzielczej, przyjmując złozone rezolucje, uznało te formy protestu dr. Kazimierza Barcikowskiego przeciwko praktykom stosowanym wobec spółdzielczości.

Małuch — 9, polonez —

20 milionów

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

- | | |
|--------------------------------------|----------------|
| 4. FSO 1500 berlina 1,5 c standard | — 14 000 000.— |
| 5. Polonez standard 1, 5c | — 20 000 000.— |
| 6. Waz Łada 2102 1300 ccm | — 19 000 000.— |
| 7. Waz Niwa 2121 | — 28 000 000.— |
| 8. Zaz 968 Zaporozec | — 8 000 000.— |
| 9. Wolga gaz 2410 | — 27 000 000.— |
| 10. Skoda 105 L — 1050 ccm | — 13 000 000.— |
| 11. Skoda 120 L — 1200 ccm | — 14 100 000.— |
| 12. Trabant 601 limuzyna | — 7 500 000.— |
| 13. Trabant 601 limuzyna | — 8 000 000.— |
| 14. Trabant 601 limuzyna hycomat | — 5 500 000.— |
| 15. Wartburg 353 limuzyna | — 14 100 000.— |
| 16. Wartburg 353 z rozsuwanym dachem | — 13 500 000.— |
| 17. Wartburg 353 z rozsuwanym dachem | — 14 100 000.— |

Posiadaczom przedmiotów, którzy uzyskali uprawnienia do nabycia samochodów w terminach wcześniejszych, samochodów będą sprzedawane w cenach roku, w którym nabyli uprawnienia.

Radziecka

pomoc wojskowa dla Nikaragui

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

wzrosła jednak pomoc wojskowa dla władz sandinowskich ze strony innych państw — w szczególności państw — a prawie dwukrotnie — ze strony Kuby.

Największymi oprócz ZSRR dostawcami pomocy wojskowej dla Nikaragui są Kuba i KRLD. Poza tym pomocy gospodarczej i wojskowej Nikaragui udzielała Bułgaria, Chiny, CSRS, Libia, NRD, Polska Rumunia, Wietnam i Organizacja Wyzwolenia Palestyny.

SPORT

Koniec fikcji?

Po przerwie spowodowanej meczem Polski z Anglią na ligowe boiska wracają piłkarze ekstraklasy. Dziś o godz. 16 w niezwykle ważnym meczu dla układu dolnych rejonów tabeli Wisła spotka się z Widzewem. Ponad 2 miesiące trwała fikcja z zatrudnieniem na etacie trenera pierwszego zespołu Bogusława Hajdasa. Działacze Wisły zdecydowali się wreszcie na jasne postawienie sprawy — koniec z bajkami o forowaniu ludzi najbliższych związanych z Wisłą — Hajdas jest pierwszym trenerem. Jego asystentami pozostają jeden z najbardziej zasłużonych dla klubu piłkarzy Adam Musiał i Kazimierz Kmieć. Wbrew wcześniejszym plotkom w meczu tym gotów jest do gry Dziubiński, który wprawdzie na grupowaniu w Zakopanem doznał skrajnie słabego skoku, ale już odzyskał pełną sprawność. Nie zagra dziś Małek, który pauzuje za żółte kartki. Przerwę w rozgrywkach Wi-

sta wykorzystała na krótko grupowanie w Zakopanem. W jego trakcie zespół rozegrał dwa sparingi z Sandecją Nowy Sącz 4:2 i Zagłębiem Sosnowiec 3:2.

Również dziś o godz. 14.30 na Suchych Stawach Hutnik podejmie Śląsk Tarnobrzeg. Podopieczni Władysława Łachy prezentują ostatnio wysoką formę i kibice wierzą w efektywne zwycięstwo. Niestety pod znakiem zapytania stoi występ w tym meczu Walan-kiewicza, który na jednym z treningów doznał kontuzji mięśnia dwugłowego. Po kontuzji rozpoczął treningi Bukalski, ale na jego występ w rozgrywkach ligowych przyjdzie jeszcze pora. Również dziś o godz. 15 Igiopol Debi-cia podejmuje u siebie byłego I-ligowca Stal Stalowa Wola. Trudno coś powiedzieć o szansach gospodarzy, którzy grają bardzo nierówno i są w stanie. Nie zagra dziś Małek, który pauzuje za żółte kartki. Przerwę w rozgrywkach Wi-

(JK)

Głupota górą

Wydział Szkolenia PZPN działa w nowych warunkach i zdaniem prezesa związku Jerzego Domańskiego wszystko w tej organizacji powinno iść ku lepszymu. Okazuje się jednak, że walka z głupotą jest albo ponad siły nowego prezesa albo też nie jest wcale najważniejszym zadaniem związkowych władz. Czego się czepiam? Otóż tenże Wydział Szkolenia zorganizował w dniach od 8 do 13 października w Centralnym Ośrodku Sportu w Walecu kurs dla trenerów połączony z egzaminem na pierwszą klasę. Oznacza to, że w trakcie rozgrywek ligowych wielu trenerów zostawia samopas swoich podopiecznych i pędzi do księżek. Nie ważne, że zespoły walczą albo o awans, albo też o odbicie się od ligowego dna. Liczą się zarządzenia wydane przez administratorów sportu, którzy chyba nie wiedzą nawet w jakich terminach gra I, II i III liga. Zespół Sandecji Nowy Sącz, który na półmetku zajmuje jedno z czołowych miejsc w III lidze, korzysta obecnie z konspektów trenera Ryszarda Kosińskiego pozostawionych w kierownictwa klubu. Ale trening nie jest najważniejszy, liczą się papierki z pieczęcią władz PZPN! Nawet nie będąc złośliwym, muszę przyznać, że głupota nadal panuje we władzach piłkarskiego związku.

(Ja)

Piękny jubileusz

Przed 15 laty decyzją prezydenta Krakowa SP nr 10 stała się szkołą sportową, w której szczególny nacisk położono na takie dyscypliny jak: hokej na lodzie, łyżwiarstwo figurowe, lekkoatletyka oraz gry zespołowe. Patronat nad szkołą objęli m. in. Cracovia, AZS-AWF oraz Szkolny Klub Sportowy. Dotychczas, największe sukcesy odnosili sekcja hokejowa trenowana przez Juliana Korzeniaka i Andrzeja Kosturka. W tej szkole wychował się uczestnik igrzysk olimpijskich w Calgary Roman Steblecki, obecnie jeden z najlepszych polskich hokeistów. Tutaj zaczęli swoją karierę: Paweł Jaskiernia, Janusz Schmidt, bracia Witold i Sławomir Czapla, Piotr Barcia i Adam Bodzioch. Wielu zawodników z tej szkoły grało w reprezentacji Polski juniorów. Swoimi wynikami w nauce oraz osiągnięciami w sporcie przyczynili oni wiele satysfakcji gronu nauczycielskiemu.

W łyżwiarstwie figurowym największe sukcesy odnosili uczniowie tej szkoły: Izabella Błk, Katarzyna Walawska, Aneta Rajpold i Agnieszka Kacmarczyk, które uzyskały II klasę sportową. Zdobywały

one medalowe miejsca w zawodach wojewódzkich, godnie reprezentowały szkołę w finałach Igrzysk Młodzieży Szkolnej. Swoje sukcesy w dużej mierze dziewczęta zawdzięczają trenerowi Aleksandrowi Ogrzy zespółowemu. Trener Emil Muszyński, który położył duże zasługi w rozwoju sekcji lekkoatletycznej. Był on nauczycielem talentów i wychowawcą w osobach Krzysztofa Zucha, Grzegorza Kucia, Mirosława Oniszczaka, Elżbiety Kacmarczyk, Jolanty Niedźwieckiej i Piotra Wróby. Obecnie pojawiła się nowa grupa zawodników z Maciejem Bazyliem na czele. Duża zasługa w osiągnięciach sportowych młodzieży z SP nr 10 dyrektora Józefa Grudnika, który w swojej pracy zawsze popierał wychowanie poprzez naukę i sport.

Z okazji jubileuszu rozegrał Puchar dyrektora szkoły w lekkiej atletyce zdobyła SP nr 29 z Krakowa. Zawody w łyżwiarstwie figurowym o puchar inspektora oświaty i wychowania wygrała SP nr 46 z Łodzi. Turniej hokejowy o puchar naczelnika, dzielnicy Śródmieście zakończył się zwycięstwem SP nr 36 z Tych.

(jk)

Slizgawka

dla publiczności

D

Te rozmowy telefoniczne z prof. Julianem Aleksandrowiczem zapisałam na kartce, którą wsunęłam do jednej z jego książek. Nie chcę pomylić daty — mówił — z tego, co było przed laty. Poniżej data: 3.06.1988 r. I jeszcze dodał wtedy: Wiem, że bywam teraz trudny, niezdolny, a moja żona ma do mnie tyle cierpliwości... Zmarł kilka miesięcy później — 18 października 1988 roku. Na pogrzebie były tłumy ludzi różnych orientacji politycznych, wyznań — bo lekarz ten wznosił się ponad wszelkie podziały będące źródłem antagonizmów, nienawiści, która — jak mawiał — zabija niszcząc zdrowie. „Gdyby Chrystus miał elektrokardiograf — powiedział kiedyś — w sposób naukowy przek-

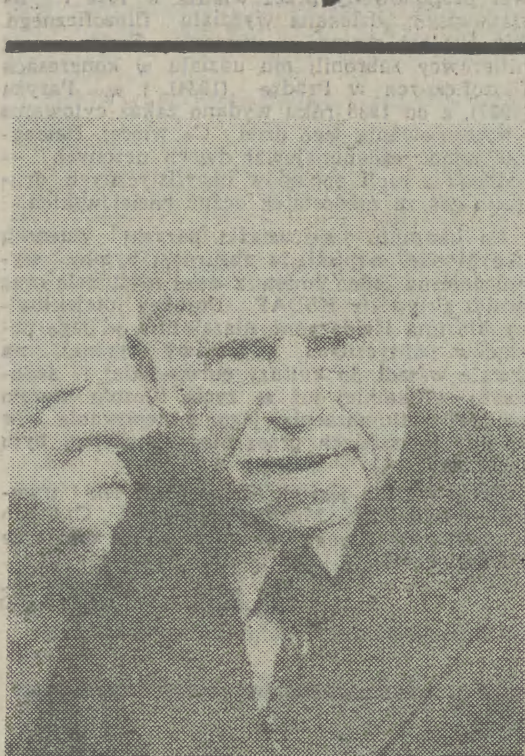
peckim, prof. Aleksandrowicz pracował nad wyciągnięciem z graskiej cieli — tak z czasem zrodził się preparat TEF. Doceniał znaczenie mikroelementów dla organizmu i zapropował sposoby uzupełniania nimi organizmu. Szczególnie wysoką wartość przypisywał magnezowi, który nazwał pierwiastkiem życia. „Mózg osiągnął niedobór magnezu w wodzie i pożywności szybko ulega skażeniu okowem” — twierdził — W stanie stresu umiarkowane hormony nadnerczy wypływają magnez z organizmu, a to prowadzi do niewydolności immunologicznej, skłonności do zakrzepów, zawałów, chorób nowotworowych”.

Jednak nie tylko naukowe osiągnięcia uczyniły go popularnym, lecz szczególny sposób patrzenia na świat, który pozwalał sobie nazwać —

W rok po śmierci prof.

JULIANA ALEKSANDROWICZA

„Człowiek tyle jest wart, ile uczyni dla drugiego”



nałby świat, iż nienawistnie zabija zawałem nienawidzącego i nienawidzonego”.

Zresztą często zapisywałam jego słowa, gdyż były one dla mnie jakby dowodem na to, że w różnych sytuacjach życiowych od początku odkrywałam ich głęboki sens. Miał nadzwyczajny dar rozumienia ludzi, zjawisk i moze stąd wywodził się prawdziwość wielu jego prognostów i naukowych hipotez.

Twierdził, że dużo świadcząca czasem wojna, szczególnie dla niego trudna, „Bez zła nie ma dobra, człowiek musi cierpieć, by poznać szczęście — tłumaczył sens tych strasznych wojennych doznań — Widzenie — musimy przeżyć tę wojnę, zobaczyć zło, do jakiego zdolny jest człowiek, poznać sadym, okrucieństwo, a równocześnie szczerze heroizm, jakiego sobie uczęszczać nie wypadało i tyle razy spotkać się ze śmiercią, by narodzić się powtórnie... Za waleczność i odwagę otrzymał „Kryż Virtuti Militari”.

Dane mu było leczyć z powodzeniem tych, którzy w czasie wojny go uratowali. „Odpłaciłem życiem za życie — mówił wdzięczny losowi — udało mi się zrobić więcej, niż mogłem kiedykolwiek marzyć”.

Od młodości przejawiał talent naukowy. Na pierwszym roku studiów medycznych opracował już polskie urządzenia do pobierania, przetwarzania i przechowywania krwi. Był pionierem krwiodawstwa. „I co mi z tego — mawiał — skoro przez całe życie nie zdołałem doprowadzić do tego, by każdy Polak miał oznaczoną i wpisaną na niezniszczalnym tworzywie, lub wytatowaną grupę krwi”.

Już przed wojną napisał książkę naukową z dziedziny hematologii, a gdy przyszła okupacja, zakopał maszynopis. Odnalazł go po wojnie. Wrócił do pracy naukowej, jako hematolog szczególnie zajmował się białaczkami. Chciał jego niespokojny duch wkraczał również w inne obszary nauki. Np. razem z prof. Smykiem i prof. Michalskim badali mieszkanka krakowskie o ścianach pokrytych pleśnią, dowodząc rakotwórczego charakteru pewnych grzybów. Znaleźli nawet sposób na neutralizację negatywnego oddziaływania tych grzybów selenem. Razem ze zmarłym niedawno prof. Wittem Re-

proczym. Wyprzedzał czas. Gdy przed laty jeszcze prawie wszyscy cieszyli się z dymiących kominów fabrycznych, będących wówczas symbolem uprzemysłowienia, on razem z prof. Stefanem Myczkowskim, prof. Waleriem Goetlem i prof. Władysławem Szaferem zakładał Polskie Towarzystwo Ekologiczne. Już od lat dużą wagę przywiązywał do immunologii, czyli nauki o odporności, która dzisiaj tak szybko się rozwija. Pamiętam, że pod koniec swojego życia, po przyjeździe z Komisji Nauk Medycznych Krakowskiego Oddziału PAN powiedział: „Musimy nauczyć się przeciwdziałać skutkom industrializacji przez neutralizowanie trucizn w środowisku i organizmie. Jeśli, na przykład, wiemy, że warzywa są zatrute metalami ciężkimi, powinniśmy rozpoznać zawarte w nich trucizny, ich ilość, jakość i zastosować takie „smiatki” wolnych „rodników”, witaminy C, selen, magnez, by nie miały ujemnego działania na organizm...”

Jeśli uważał, że codziennie zdrowiu, gotów był skorzystać z różnych dróg, by wprowadzić swoje myśli w czyn. Bywał w tym celu u dekadentów, w zakładach przemysłowych, w komitecie PZPR i w Kościele — gdy te instytucje były jeszcze bardziej niż dzisiaj oddległe, korzystał z tamtych prasy. A tym, którzy się dziwili takiemu postępowaniu wyjaśniał: „Wybrałem w życiu cel ważniejszy niż moja godność osobista. Jego realizacja wymaga, często adaptacji, zagrywania zębów. Po to jest potrzebny prestiż społeczny, bym mógł wprowadzać to, co jest zgodne z moimi przekonaniem i wiedzą, a korzystne dla ludzi... Kto utrudnia mi działalność to interesie społecznym jest mój wrogiem”.

Trąpiły go sprawy zagrażające zdrowiu ludzkości, nawet te odległe, nie do podjęcia przez jednostkę. Mawiał często, że dwie trzecie mieszkańców globu choruje z głodu, a jedna trzecia z przejadania. Dociekał, dlaczego jest inaczej niż powinno być. Martwił się upadkiem prestiżu lekarza. Jak twierdził: relacje między lekarzem a pacjentem zakłócają pieniądze. A zawód lekarza jest także wyborem postawy moralnej, nie jedynie zarabianiem pieniędzy. Żałował wiele, że medycyna odeszła tak daleko od filozofii, z której wyrosła. „Bo jeśli się odnieść roślinę od korzeni — mówił — usycha”.

Utworzona przez niego III Klinika Chorób Wewnętrznych, która prowadziła w latach 1952–1964, odróżniała się od ówczesnych szpitali atmosferą — kolorowymi ścianami, obecnością muzyki, malarską, poezją, czy Kola Przyjaźni Chorych, które obejmowała opieką opuszczających klinikę pacjentów. „Sens w tym, by troska o chorego przekraczała mury szpitala, przenikała do jego domu, zakładu pracy, gdzie rodzą się anomalie wywołujące choroby. Bo przecież, w otoczeniu człowieka tkwią psychiczne, somatyczne przyczyny jego schorzenia” — twierdził.

Nie znam drugiego człowieka, który by tak umiejętnie reagował na nowe zjawiska. Z zaistnieniem, wspominał, jak po tragedii w Czarnobylu, gdy wieść o niej jeszcze nie była wszystkim dostępna, telefonował do mnie prosiąc o podanie w prasie pilnego ostrzeżenia i proponował, by jak najszybciej podać wszystkim ludziom preparaty przeciwdziałające skutkom napromieniowania. Nie doceniał wagi tego alarmu. Zresztą i ci, którzy więcej mogli uczynić w tej kwestii, jak się później dowiedziały, nie uwierzyli wówczas staremu profesorowi, że stała się rzecz tak groźna dla zdrowia milionów.

„Mądrość to rozum ujęty w ramy serca” — zwykł powtarzać prof. Julian Aleksandrowicz. A człowiek tyle jest wart, ile uczyni dla drugiego. Cóż, żyjemy w czasach tak skomplikowanych moralnie, że trudno odróżnić dobro od zła i tylko garstka ludzi myśli uczciwie o sprawach społecznych, wykraczając poza swój prywatny interes...”

KRYSTYNA ROŻNOWSKA

W imieniu ginących waleń

Na swój sposób dosyć zaskakująca książka są wspomnienia byłego szefa „Ziemi Nikit” Aleksandra Adzubeja. Nie, dlatego, że ujawnia on wiele szczegółów z życia tak zwanych wyższych sfer Rosji Sowieckiej, które przez wiele lat obrosły legendą, podprawa i polkamiństwem, ale dlatego, że napisał ją dziennikarz, któremu przyszło pracować w centralnej prasie moskiewskiej w najcięższych i najbardziej tragicznych latach, kiedy to obłęd stalinowskiego totalitaryzmu nie tylko ścigał szczyty, ale i dożywał swoich dni w ówczesnym wadaniu.

Dziennikarz jest kronikarzem swojego czasu, taka jest jego rola i Adzubej ma tego pełną świadomość od chwili kiedy zaczyna stawiać pierwsze kroki w zawodzie. Ale ma także świadomość, w jakich czasach żyje, jakich wydarzeń jest świadkiem. Książka Adzubeja jest świadectwem gigantycznych manipulacji, test reporterskim przekazem pewnych mechanizmów systemu absolutnie totalitarnego, w którym jednostka była całkowicie podporządkowana nadrzędnej idei, w którym jednostka była traktowana niemal wyłącznie instrumentalnie.

Życie ludzkie w systemie totalitarnym nie miało większego znaczenia. Powstała nowa kategoria: przeżyje tylko ten, kto utraci swoją twarz.

Książka Adzubeja jest o tym, jak osobowość człowieka

przestaje mieć jakąkolwiek wartość, jak zaczyna on podlegać swojemu dwómniemu, a nawet trójmięsiu w zależności od potrzeb i okoliczności. Świadomość tego, że nieprzypadkiem na siebie ochronnych barw, a tym samym przyjęcie dobrowolnie roli komedianta nie daje szans na normalne funkcjonowanie w społeczeństwie, doprowadzi z czasem do degradacji psychicznej, jest z pewnością dla normalnego człowieka zabójczą.

Wydać się, że jedynie wiara w najprościej pojmowane człowieczeństwo i nie zatracony instynkt samozachowawczy mogą gwarantować przetrwanie systemu opartego na bezprawiu, zbrodni, chorobliwej walce o władzę, półprawdzie i dwómniemiu.

Adzubej z perspektywy lat patrzy na swoją pracę dziennikarza w latach stalinowskiego terroru tylko chwilami o-

biętnie, ponieważ ciągle towarzyszy mu myśl, jak ma tamte czasy ocenić. Zachowuje postawę ambiwalentną. Musi bowiem umiejscowić gdzieś i siebie. Nie może przecież przyjąć na siebie roli anioła, który z wysokości kremlewskich gwiazd oceni mroczne lata stalinowskiej Rosji. Ale też nie może przyjąć roli człowieka, który wszystko widział z dołu, z pozycji zgnajonego inteligenta, z pozycji wroga ludu wdychającego obowody pył kachastanich stępów czy syberyjskich bezkresów. Był zięciem człowieka piastującego najwyższą godność w partii komunistycznej, jednej i wszechwładnej sile, która usiłowała zbudować socjalizm niszcząc jedno społeczeństwo i usiłując wychować inne.

Adzubej przynajmniej się, że kiedy teraz, w ostatnich latach, czyta ujawnione dokumenty i relacje naocznych świadków o zbrodniach ludzi będących w pierwszym kręgu Stalina,

IX KONKURS IMIENIA ADAMA POLEWKI — NAGRODA MKIS

W dniu 3 lipca 1953 r. ze świadectwem technika budowlanego przemysłowego i nakazem pracy, z duszą na ramieniu stanąłem przed obliczami „personalnego” w Dyrekcji Zjednoczenia Przemysłowego Budowy Nowej Huty. Po krótkiej rozmowie otrzymałem skierowanie do Zarządu Budowlanego Nr 3 realizującego budowę wielkich pieców. Tu skierowano mnie do pracy w Kierownictwie Odcinka Budów Nr 1. Otrzymałem angaż technika obmiarów z placą podstawową 712 złotych i premią do 250%. Pierwsze dni były bardzo trudne. Okropnie bałem się, czy sobie jakoś poradzę. Niesamowicie rzył, setki ludzi, duża ilość sprzętu, rzyzące megafony, wieczne „urywające się” telefony — wywierały na mnie niesamowite, przyciągające wrażenie. Codziennie po powrocie z pracy dzieliłem się z siostrą swoimi spostrzeżeniami, wątpliwościami i obawami. Oboje z mężem podtrzymywaliśmy sobie ducha.

Jesienią zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. W jednostce przydzielono nas przemówieniem i śniadaniem. Potem był fryzjer, pobieranie umundurowania i zdawanie cywilnych ciuchów. Kapiel, fotograf i pierwsza zbiórka. To był prawdziwy cyrk. Od razu więc zaczęły się przysłówowe „schody”. Kaprale wreszcie jak opętani usiłując zaprowadzić taki taki porządek, nauczyli „bande cywilów” zwrotów, składanego marszu itp. Po obojędnie zakwaterowaniu, napełnianiu senników i poduszek słomą, nauka ścielenia łóżek „pod kani”. Następnie kolacja, godzina umoralniającej gadki i pierwszy wieczorny apel. Po nim jeszcze nauka składania umundurowania w koskie i nareszcie upragnione „do spania”. Niestety nie od razu. Dowcipny pan kapral krzyknął „dobranoc wojsku”, a my odrzekliśmy chórem „dobranoc obywateli kapralu”. I o to właśnie mu chodziło, bo nastąpiło kilkakrotne „z łóżeczka raz na łóżeczko dwa”, a następnie kulturalne wyjaśnienie, że „pies jak je to nie szczeka, a żołnierz

czącym do góry kawałkiem kości. Poczułem słabość. Nadszedł mój pracownik. Ktoś zaciął mi na udzie i powyżej łokcia gumowe węże z podciętej chłuba „szlachetny” (wagi wodnej). Po chwili nadszedł kolega z nadzoru. Podaliśmy adresy bliskich. Po kilku minutach nadszedła karetka pogotowia z felerką. Zawieziono mnie na „czernową chirurgię” do Krakowa. Jazda wydawała mi się wiecznością, narastała szarpący ból. Wnieśli mnie do ambulatorium, ściągając potargana odzież i zrobiono mi jakiś zastrzyk. Krzaczkało się wokół mnie kilka osób. W pewnym momencie usłyszałem: „trzeba ciąć powyżej kolana i powyżej nadgarstka, bo to wszystko strasznie spaprane”, a po chwili „spróbujmy uratować co się da, ciąć zawsze zdajemy”. Miałem więc przedsmak tego, co mnie czekało. Szybko przetransportowano mnie na salę operacyjną. Złowił zastrzyki i maska tlenowa na twarzy. Zaczęło mi się robić dziwnie, obojętnie i błogo, zobaczyłem wykwieczone łake i mój córreczka zbierająca kwiatki. Gdy się obudziłem krzaczkało się koło mnie dwie pielęgniarki. Jak z oddali usłyszałem: „proszę leżeć spokojnie, jest pan w szpitalu. Miał pan wypadek, ale teraz jest już wszystko w porządku”. Po jakimś czasie skończyłem, że sala jest bardzo czysta i dużo w niej ludzi na łóżkach. Nagle w drzwiach zobaczyłem senn. Skinałem i jej ręką. Podeszła spojrzała, a z jej pięknych oczu posypały się jak perły gęste krople łez. Usiadła i coś do mnie mówiła, ale byłem jeszcze jak zaszczepiony i wszystko mnie okropnie bolało. Chwilami usypiałem, budziłem się i ponownie zapadałem w męczący sen. Często zaglądałem do mnie lekarze i pielęgniarki. Zaczęłem podejrzawać, że chyba jest ze mną nie najlepiej.

Nastąpił teraz dla mnie trudny dzień. Oprócz cierpienia fizycznego dręczył mnie myśli o przyszłości. Miałem 31 rok życia, żona 24, a córeczka niespełna 4,5 roczku. Wydawało mi się, że niebo runęło mi na głowę. Najgorsze były noce.

stałem kilka osób, w tym pozostałych sekretarzy KD. Moją relacją o przykrościach w przychodni byli nie mniej zaskoczeni niż ja, którzy je przeżyłem. Tę Hanię popadła nieomal w furję. W ruch poszły telefony. Po kilkunastu minutach zapewniono mnie, że mój wniosek będzie załatwiony i mam spokojnie kontynuować leczenie zgodnie z zaleceniami lekarzy. Po dokładnym wypytaniu w czym może mi być jeszcze pomocny, Komitet odwiedził mnie do domu. Byłem zadowolony, ale pozostał cieni gorzki. Dlaczego zrozumieć mnie i pomóc? Zwykli ludzie, a nie lekarze, ci którzy mieli do tego nie tylko prawo i możliwość, ale przede wszystkim moralny obowiązek! Myślałem równie, jaki los czeka tych, którzy się poddają woli losu, a raczej bezdusznych, cynicznych ludzi nie mających odwagi pójść nawet do Komitetu. Drugi cios otrzymałem niewiele dni później. Otróż pewnego dnia zawiadziło się w moim, dwóch pandów z PZU (należeli i inspektor jednego z wydziałów) w towarzystwie pracownika miejscowego zakładu — agenta tejże znacznej firmy. Oświadczyli mi, że uściślem za niską składkę ubezpieczeniową (100 zamiast 300 zł) w odniesieniu do stanowiska pracy, w związku z czym proponują mi natychmiastową wypłatę, jednak trzeciej należności z polisy ubezpieczeniowej odpowiadającej na kwotę 100 tysięcy złotych, po podpisaniu — przedłożonej mi równocześnie — już przygotowanej umowy — ugody. Jednocześnie zaszantażowano mnie stwierdzeniem, że o ile zaskarżę PZU do sądu, to pozostałe dwie trzecie należności będzie musiał zapłacić mój koleś agent — to ostatnie zrodziło u mnie przekonanie, że ci panowie chcą mnie w świątelnym sposób zrobić „w konia”. Odrzuciłem ich więc z kwitkiem. Po zastanowieniu zwróciłem się o pomoc do redakcji tygodnika „Prawo i Życie”. Zdecydowana interwencja jej przedstawicieli — pani redaktor Krystyna Świąteczkiej była natychmiastowa i nadzwyczaj skuteczna. Ja po

KRESOWIAK (4)

EDWARD BENEDYK

jak śpi to pierdzi, a nie gada”. Wojsko zrozumiało. Po drugim „dobranoc” zapadła cisza.

Okres rekrutki miałem nieco lepszy niż pozostałe „cholerne, cywilne sierotwo”. Wraz z trzema kolegami z technikum zapisano mnie do powstającego zespołu artystycznego, co zważyło mnie z szeregu nie najprzejrzystszych zajęć. Niemniej i tak solidnie „poorałem” bruciem sławne „ulańskie pola” przy ul. Szubińskiej, 10 stycznia 1954 r. złożymy przysięgę i zostałem prawdziwym żołnierzem. Dla starszych roczników jeszcze przez kilka miesięcy byłem nadal „rekimem”.

W styczniu 1955 r. zmarł mój ojciec. Straciłszy wspaniałego przyjaciela, mądrego i niezwykle prawego człowieka. Ostatnia ziemską drogę odbył na ramionach czwórki swoich synów, których wychował na porządnym ludzi i dobrych Polaków. To było dla mnie ogromne przeżycie. Tuż przed Świętami Wielkanocnymi przeniesiony zostałem do Łęczycy, gdzie też 14 listopada 1956 r. skończyłem służbę.

Powróciłem do Krakowa i ponownie zamieszkałem u siostry. Przeprowadziła się tu również mama. Po tygodniu podjąłem pracę w tym samym, ale już przeorganizowanym, zakładzie, któremu jestem wierny do dziś. Moim nowym szefem został pan Michał, wspaniały, wesoły, ciepły i człowiek, a następnie diugetni, serdeczny przyjaciel. Nadal rozbudowywałem rejon wielkich pieców, specjalizując się niejako w ich wykonawstwie.

7 marca 1959 r. zawarłem związek małżeński. Moje ślubne szczęście miało niespełna dwadzieścia lat, było, szatańskie i posiadało dwoje dużych, pięknych, niebieskich oczu. Na imię Grażyna. Równie dziesięć miesięcy później odbyła się moja ślubna, wyznaczona córka.

Mój życiowy dramat rozegrał się 23 maja 1964 r. o godz. 8.20 rano w sobotę, na budowie obiektu Kokosowy Huty im. Lenina. Zenerowany jakimś „podbramkow” sytuacją wszedłem bezwiednie na tor oddzielający moje budowy od zaplecza. Po chwili usłyszałem narastający łoskot. Gdy spojrzałem za siebie, z przerażeniem ujrzałem nadlatującą czarno-złotą bryłę lokomotywy. Odruchowo rzuciłem się naprzód. Potworny strach, huk, uderzenie i przerażające padanie w otchłań ciemności, w czasie którego działo się ze mną coś przerażającego, a następnie świadujący uszy szloch. Gdy otworzyłem oczy zobaczyłem przelatującą tuż, tuż koła wagonów. Umysł zaczął działać jak najprzejrzystszy komputer. Setki myśli przelatywały przez głowę niczym błyskawice. Przetwarzały się na środek miedzytorza poczułem silne uderzenie w plecy i w głowę. Przypadłem mocno do torowiska. Pociąg przejechał. Usiłując się podnieść poczułem rwyby ból w lewej ręce. Jakos usiadłem. Z lewej zakrwawionej dłoni wylała strzępiny ciała, z poszarpanej lewej nogawki spodni wystawała żółtawa, strząskana kość gołeniska. Po zewnętrznej stronie szyny stał bucik ze ster-

Ból nie pozwalał zasnąć, wszędzie rozlegały się jęki, majaczenia, płacz lub modlitwy takich jak ja nieszczęśników. W krótkich okresach, gdy działały jeszcze usmierzające morfina i pyralgin, setki myśli krążyło po głowie jak stado krótko nad konającym. Rozpacz tłamsiła przebiegiście jasniejszych myśli i nadziei. A mimo wszystko bardzo chciałem żyć, żyć godnie i po ludzku, bez wyciągania ręki po pomoc. Miałem przecież po co, a przede wszystkim dla kogo żyć.

Mój stan fizyczny ulegał pomalutku poprawie, rany stanęły goły się nadszpiewanie dobrze. Codziennie oprócz żony odwiedzałem mnie także przełożeni, koledzy i podwładni. Przynosiły ze sobą kwiaty, pociechę i przekonanie, że ktoś o mnie myśli, że chce mi serdecznie pomóc. To było to, co dodawało mi odwagi, pozwalało łatwiej znosić fizyczne dolegliwości.

Po niecałym miesiącu pobytu w szpitalu, na własną uśliną prośbę znalazłem się w domu. Biegające opatrunki robiła mi moja wspaniała małżonka. Co przeszła, wie chyba tylko ona jedna. Codziennie odwiedzałem mnie koledzy z KOB-1. To dzięki nim i takim ludziom jak Mieczek Michalski, Rysiek Soborowski, Jurek Syty, Zygmunt Liszka i szeregowi umnych serdecznych przyjaciół „stałem na nogi” i pozostałem człowiekiem mimo uciążliwego, fizycznego kalectwa. W sierpniu mogłem już poruszać się o kulach i przebywać na powietrzu. Pieniężne zeteknięcia z sąsiadami i znajomymi były bardzo trudne. Wszyscy mi współczuli, niejednemu na mój widok wilgotniały oczy. Musiałem iakoś przebrać przedtę, aczkolwiek nie było to łatwe.

Jak to jednak w życiu bywa, oprócz ludzi dobrych bywały także złe bezwzględni, nieczuli nawet na największe nieszczęścia. Przekonałem się o tym osobiście i to boleśnie.

Gdy kochaliśmy się 6-miesięczne zwolnienie lekarskie, zwróciłem się do komisji lekarskiej przy ZLZ Huty im. Lenina (tam mamy specjalistów) — mając zgodę zakładu pracy — o jego przedłużeniu o dalsze 3 miesiące, na co zezwalał ówczesne przepisy. Wraz z zaległym urlopem stwarzało mi to możliwość dwumiesięcznej nauki chodzenia na prostej i normalnego powrotu do pracy. I tu spotkało mnie zgola coś szokującego. Przewodnicząca komisji pani dr Barbara odpowiedziała na moją prośbę w sposób brutalny, wręcz nieludzki: „przebieg państwa zdrowia nie rokuje poprawy, bo ani ręka, ani noga państwa nie odrosną w związku z czym nie ma żadnej przesłanki do przedłużenia zwolnienia. Przejdźcie państwa na rentę, nauczy się chodzą, a potem zrobi o będzie uważał za stosowne”. To był nokaut. Zareagowałem brzydko, i nawet dziś nie wstydzę się tego. Postanowiłem ponadto polewać o swoje prawa i w związku z tym kazałem zawieźć się do Komitetu Dzielnicowego PZPR. Już na schodach spotkałem sekretarkę propagandy tow. Henrykę Winiarską. Kobieta bardzo energiczna i nad wyraz impulsywna. Poprosiła mnie do swojego pokoju, gdzie za-

kilkunastu dniach otrzymałem pełną należną mi kwotę, a dwaj cyniczni panowie zasłużoną karę. Tak więc miałem kolejną okazję przekonać się o własnej skórze, że zawiadli tu także ci, którzy jako pierwsi winni byli pomocy. Pomogli zaś ludzie — obcy ale za to wrażliwi na lu tkli ból i nieszczęście, w dodatku bezinteresownie.

Po dziesięciu miesiącach rekonwalescencji powróciłem do pracy. Przełożeni i koledzy przywitali mnie bardzo serdecznie, zachowując się jak gdyby nic się nie wydarzyło. Zatrudniono mnie na stanowisku odpowiadającym moim aktualnym możliwościom fizycznym, a w dodatku zgodnie z moim życzeniem i kwalifikacjami. Otrzymałem również wynagrodzenie jakie miałem przed wypadkiem. Dyrektor pan Stanisław Czerski nawet bez jakiegokolwiek próby z mojej strony polecił dowozić mnie do pracy i z pracy do domu zakładownym samochodem do czasu, aż obojeśmy uznamy to za niepotrzebne. Tak więc mimo wszystkich przeciwności losu jakich doznałem po wypadku, dzięki łaskawości dobrych, przyjaznych serc i mojej wspaniałej małżonki otrzymałem się z nieszczęścia i zostałem nadal zwykłym, normalnym człowiekiem, co potwierdza moja dorosła córka — psycholog. Uwierzyłem ponownie w siebie, ludzi i swoją przydatność dla rodziny i społeczeństwa, aczkolwiek nie przyszło mi to łatwo. Czas mijał, zaczęły narastać chęci bycia w życiu czymś więcej niż skromnym urzędnikiem i administracji gospodarczej, pedacem życia za biurkiem. W latach 1971–74 ukończyłem pomyślnie studia wyższe I stopnia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego, po których skierowany zostałem do pracy przy budowie dzielnic przemysłowej w Wilnie w NRD. W trzy tygodnie po powrocie do kraju, to jest 1 lipca 1976 r. objąłem stanowisko zastępcy dyrektora Budowy Wielkich Pieców w Hucie Katowice, które piastowałem do końca marca 1981 r. odnosząc liczne, uznane sukcesy. W międzyczasie, to znaczy w latach 1979–81 ukończyłem studia magisterskie na tymże samym wydziale Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia zaczęłam okupieć wieloma wyrzeczeniami, a nawet okresowymi załamaniem zdrowia. Ale dopięłam swego i zamierzony cel osiągnęłam. Najważniejsze że pozostałem CZŁOWIEKIEM! A jak pisał wielki radziecki pisarz Gorki: „człowiek to brzmie dumnie”. Wypełniłem także testament najdroższego mi człowieka — Matki, której marzeniem było, aby najmłodszy z jej najukochańszych synów ukończył wyższe studia. Nie zapomniałem również tej życiowej dewizy, że „no burzy zawsze, jest słońce”!

Wierzę także — chociaż mało to przesad — że najjaśniejsze z gwiazd, gwiazda nadziei — jutro będzie świecić mi na niebie, pełnym blaskiem aż do dni ostatnich.

Uparty „Kresowiak”

file i en face zbyt wielu osób. W tym momencie przez Adzubeja nie przemawia już rasowy dziennikarz, ale koniunkturalista. Minoło ćwierć wieku od śmierci Stalina i ten czas jeszcze nie nadszedł? Czy zamordowanie milionów ludzi, represjonowanie znacznej części narodu, to tajemnica, o której świat nie może się jeszcze dowiedzieć? A może to właśnie gigantyczny wstyd nie pozwala otworzyć kremlewskich archiwów i przyznać się, jak kręciły się tryby tej największej maszyny zbrodni naszego stulecia.

Adzubej w zasadzie nie ma innych poważnych problemów oprócz tego, gdzie i jak umiejscowić siebie w tej hierarchii odpowiedzialności, która ciąży na dziennikarzach zaczynających swoją karierę w tamtych latach. Problemy może mieć jednak czytelnik s ocena postaw autora. „Tamtych dziesięciu lat”. Obo fragment, który daje jednak wiele do myślenia: „Dlaczego pana rodzina, żona, dzieci, nie miałyby przyjechać do Egiptu? — spytał pewnego razu prezydent. I tak nasi chłopcy, Nikita i Alisza, znaleźli się w tej baśniowej krainie. Do dziś dnia zachowujemy tamśm nakreconą podczas „międzynarodowego” meczu piłki nożnej pomiędzy Naserem i ich kolegami a radziecką reprezentacją, do której weszli nasi chłopcy, syn Jigora Biela-jewi i dzieci pracowników ambasady. Nasi przegrali, reprezentacja zalewała się łzami na skraju zakurzonej polany. — To przez ten upał — usprawiedliwiali się nasi. — Zima zaprosiliśmy dzieci Naserę do nas w gości. Prezydent zgodził się puścić tylko córka Chodę. — Chłopcy jeszcze zdają, teraz mają szczerą naukę w szkole, a Choda przyjęła zaproszenie. Prawdę mówiąc — dodał prezydent — będzie to dla niej z pożytkiem. Dawno marzy, żeby zobaczyć Rosję, rosyjską zimą...”

Choda miała 17 lat i ukończyła college. Kiedy z żoną witaliśmy ją na lotnisku w Moskwie, szczególnie dla gości termometr wskazywał 30 stopni mrozu”.

Czy mi przypadkiem już skądś tego nie znamy? Oprócz świadectwa czasu książki Adzubeja „Tamtych dziesięciu lat” jest także portretem Chruszczowa na te epoki, portretem może nieco jednostronnym, albowiem rodzinnym, ale po latach zupełnego milczenia nad tym grobem, ten szpett może być ważny.

JANUSZ NICZPOROWICZ

Szepty i...

biętnie, ponieważ ciągle towarzyszy mu myśl, jak ma tamte czasy ocenić. Zachowuje postawę ambiwalentną. Musi bowiem umiejscowić gdzieś i siebie. Nie może przecież przyjąć na siebie roli anioła, który z wysokości kremlewskich gwiazd oceni mroczne lata stalinowskiej Rosji. Ale też nie może przyjąć roli człowieka, który wszystko widział z dołu, z pozycji zgnajonego inteligenta, z pozycji wroga ludu wdychającego obowody pył kachastanich stępów czy syberyjskich bezkresów. Był zięciem człowieka piastującego najwyższą godność w partii komunistycznej, jednej i wszechwładnej sile, która usiłowała zbudować socjalizm niszcząc jedno społeczeństwo i usiłując wychować inne.

Adzubej przynajmniej się, że kiedy teraz, w ostatnich latach, czyta ujawnione dokumenty i relacje naocznych świadków o zbrodniach ludzi będących w pierwszym kręgu Stalina,

Z mniej znanych kart września 39

Mała flotylla przeciw wielkim najeźdźcom

Niewielką rolę we wrześniu 1939 roku odegrała wojenna flotylla rzeczna naszej Marynarki Wojennej na wodach Polesia (flotylla pińska), jak również kutry bojowe floty wiślanej. Mimo to wojenne jednostki rzeczne kasały napastników, zestrzeliwując nieprzyjacielskie samoloty i niszcząc czołgi. Marynarze floty rzecznej strzegły także przepraw mostowych i wspomagali ogniem swoich jednostek ruchy polskich oddziałów. A gdy już nie można było walczyć na wodzie, przyłączali się do oddziałów lądowych. Marynarze z jednostek rzecznych na Wiśle przedzielali w stronę Modlina, aby brać udział w obronie tej twierdzy, a marynarze z floty pińskiej przeszli pod rozkaz gen. Franciszka Kleeberga, by podążać z nim na odsiecz Warszawy.

Istnienie flotylli pińskiej datujące się od 1919 roku związane jest z narodzinami II Rzeczypospolitej. Załogi flotylli przeszły 70 laty były 3 motorówki z załogami 12 marynarzy, pod dowództwem por. mar. Jana Gedroicia. Jednostki te rozpoczęły służbę na Pinię i Prypeci — w czasie wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku. Nad jeziorem Horodyszczę wspomagały nasze oddziały walczące na łądzie. Kiedy zdobyty został węzeł komunikacyjny Mozarz — Kalinkowice, w polskie ręce wpadły rysyjskie statki bojowe, parowce, motorówki i barki. Flotylla na Polesiu wzbogacona o zdobyczne sprzęt, wyparła z Prypeci na Dniepr jednostki rysyjskie. Wkrótce jednak w czasie odwrotu Polaków spod Kijowa szczęście odwróciło się także do floty pińskiej. Poniosła ona straty i pod naporem nacierających Rosjan i oddziału jej powrotu do Pińska, na rozkaz dowódcy, pułkownika mar. Jerzego Wołkowskiego została zatopiona i przestała istnieć.

Powrót do Pińska nastąpił po klęsce Rosjan pod Warszawą i zawieszeniu broni 18 października 1920 roku. Potem stopniowo flota pińska odradza się, wzbogaca się o port wojenny, stocznię, magazyny i oczywiście — jednostki wojenne. Polesie — kraina bagien i puszcz — miała duże znaczenie strategiczne zarówno dla Polski jak i dla ZSRR. Stanowiło ono, bowiem naturalną tamę przeciwko użyciu dużych i ciężkich jednostek. Tym należy tłumaczyć rozlokowanie na rozlewiskach Prypeci i jej dopływach polskich jednostek z bazą w Pińsku, a po drugiej stronie granicy, na Dnieprze — flotylli radzieckiej.

Oto, jak wspomina służbę wojskową w 1936 roku na pińskich „błotach” mieszkający w Krakowie emerytowany kapitan Żegluga Wielkiej Zbigniew Węglarz. „Pływaliśmy tam na jednostkach o płytkim zanurzeniu (kilka z nich było zbudowanych w Krakowie w Zakładach Zieleniewskiego) na trałowcach, minowcach rzecznych i kutrach uzbrojonych. Jeden z monitorów nosił zresztą nazwę „Kraków”. Była to dość osobiwa flota, a najdziwniejsze były dla nas manewry większych jednostek: otóż zakotwiczenie polegało na tym, że wieżdżono się dziobem w miękki brzeg Prypeci, wynosiło kotwicę na ląd i zahaczało ją. Flotylla pińska, łącznie z kompanią wrześniową, dowodził kmrdr Witold Zajaczkowski, były oficer rysyjskiej marynarki wojennej. Był on dobrym organizatorem i utrzymywał ostrą dyscyplinę.

Wszelka żartobliwość czy nawet uszczypliwość na temat flotylli pińskiej i jej dowódcy musiały jednak ustąpić powadze i nastrojom tego wydarzenia, jakim była napad na Polskę hitlerowskich Niemiec. W tym czasie cała polska flotylla rzeczna, składająca się z Wydzielonego Oddziału Rzeki Wisły i Wydzielonego Oddziału Rzeki Prypeci, podporządkowana była dowództwu Marynarki Wojennej.

OW „Wisła” wyposażony m.in. w 7 kutrów uzbrojonych, przedstawiający pod względem siły ogniowej i ludzkiej równowartość wzmocnionej kompanii piechoty, nie mógł odegrać istotnej roli w walkach z nieprzyjacielem. Niemniej zapisał piękną kartę, szczególnie w obronie Pomorza i w bitwie nad Bzurą. Grupa ta przeszła chrzest bojowy 2 września w starciu z 3 eskadrami Luftwaffe (24 samoloty) atakującymi Fordon, służę Brdy, ujścia i most kolejowy. Nałot ten zakończył się zestrzeleniem przez kuter ORP „Nieuchwytny” niemieckiego bombowca. Inne zadanie jednostek flotylli wiślanej to ubezpieczenie przeprawy Pomorskiej Brygady Kawalerii. Kutry rzeczne osłaniały także odwrot z Wisły jednostki Armii „Łódź” po utracie przez nią linii rzeki Warty i Widawki. Pełniły także służbę dozorową na Wiśle na odcinku Włocławek—Płock, w celu powstrzymania Niemców przed ich przeprowadzeniem na lewy brzeg rzeki. Gdy Płock i Wyszogród był już w rękach nieprzyjaciela (10 września) na zespoły flotury rzecznych wzmagały się niemieckie ataki lotnicze i nekajacy ostrzał artyleryjski. Stały się one szczególnie groźne, gdy kutry musiały się zatrzymać przed ogromnymi mieliznami i przemiałami na Wiśle, udaremniającymi praktycznie dalszy ich ruch. Ze sztabu armii przychodził rozkaz zatopienia wszystkich jednostek i skierowania ich załóg do Modlina. I tak powstał oddział marynarski (dwóch oficerów i ok. 60 podoficerów i mary-

narzy), lecz do Modlina dotarli tylko nieliczni. Grupa ta w trakcie przedzierania się została rozproszona, wskutek nieustannych potyczek z Niemcami.

Wkroczenie Armii Czerwonej w dniu 17 września na terytorium polskie, dla dowódcy floty pińskiej było kompletnym zaskoczeniem. Zwiastcza, że jeszcze niedługo przedtem marszałek Woroszyłow wołał: „Polacy nie boją się, za wami stoi 10 milionów bagnetów”. Przekonanie polskich sztabowców o dotrzymaniu paktu o nieagresji przez stronę radziecką sprawiło, że wcześniej z Pińska przekazano częste użbrojenia w postaci dział dla morskiej i lądowej obrony wybrzeża. Główną siłą zbrojną na naszej granicy wschodniej stał się praktycznie Korpus Ochrony Pogranicza.

Przeciwko flotylli pińskiej, składającej się z 40 jednostek (równowartość wzmocnionego pułku piechoty) ruszyła radziecka flotylla dneprowska. Do walki na rzecę jednak nie doszło, gdyż jednostki radzieckie utknęły na licznych mieliznach i pływaczach jeszcze przed granicą polską. Atak przyszedł jednak z powietrza. Lotnictwo radzieckie zbombardowało Pińsk, który objęty był już ewakuacją. Była ona podyktowana wcześniejszym odejściem na zachód Grupy Operacyjnej „Polesie” oraz spóźnionym nadejściem oddziałów KOP, z którymi miała współdziałać flotylla pińska. Doszło wprawdzie do wymiany ognia między naszymi kuterami a radzieckimi pojazdami pancernymi, ale dalsza walka z przeważającymi siłami agresora straciła sens. Tym bardziej, że dowództwo naczelne Polskich Sił Zbrojnych wydało rozkaz niepodlegowania walki z oddziałami radzieckimi, jeśli wcześniej nie nastąpi atak z ich strony. Okazało się również, że saperzy przedwcześnie wysadzili mosty drogowe tarasując kutrom wejście do Kanalu Królewskiego. Chciano bowiem tym szlakiem dostać się na Bug i Narew, aby przyjąć z pomocą broniącemu się Modlinowi. Jedyne co pozostało, to osadzenie na dnie polskich rzek wszystkich jednostek pływających. Przeszła tym samym istnieć również flotylla pińska, choć dla jej załóg nie oznaczało to jeszcze końca wojny. Marynarze z poszczególnych zespołów pływających formowali się w kompanie lub większe jednostki i dołączyli do Grupy Operacyjnej „Polesie”, przechodząc pod rozkazy gen. Kleeberga. W rezultacie we Włodawie uformował się 22 września zbiorczy batalion morski pod dowództwem komandora Zajaczkowskiego oraz zbiorcza kompania marynarska. Gen. Kleeberg w zaistniałej sytuacji zmienił swój plan operacyjny, postanawiając przedrzeć się na pomoc walczącej Warszawie. Za plecami maszerujących byli jednak Rosjanie, z którymi marynarze flotylli rzecznej stoczyli walkę pod Jablonią. Z przeciwnej strony byli Niemcy, z którymi doszło do walki pod Kockiem — ostatniej bitwy polskiego Września, zakończoną kapitulacją w dniu 5 października. Batalion morski walczył pod Lipinami i Heleń, tracąc dwóch oficerów, 5 podchorążych i 20 marynarzy. Jednym z epizodów bitwy było zwycięskie natarcie na kościół i cmentarz w Woli Gulowskiej, w którym uczestniczyła kompania marynarska pod dowództwem ppor. mar. rez. Bohdana Korsaka. W czasie ataku został on ranny w obie nogi.

Kiedy dogasał opór pod Kockiem, inne dramaty przeżywali żołnierze batalionu morskiego uformowanego z robotników placówek obronnych „Kaczanowice”, „Mosty Wolańskie”, „Przewóz Łachewski”, „Nyrca”, i „Sytnica”. Batalion ten, który włączony został do grupy Korpusu Ochrony Pogranicza pod dowództwem gen. Wilhelma Rükmanna-Orika, wyruszył 23 września na zachód za oddziałami Grupy Operacyjnej „Polesie”. W nocy z 24 na 25 września stoczył walkę w Ratinie, a w dwa dni później — w rejonie Zablocie-Zabno (na północ od jeziora Tur) został rozbrojony przez oddziały radzieckie. Oficerowie i starsi podoficerowie (około 20 osób) zostali wydani miejscowym nacjonalistom, którzy rozstrzelali ich w Mokronach. Mordu tego, według innej wersji, mieli dokonać żołnierze radzieckie.

Na ścianie kościoła w Oksywie pod wezwaniem św. Michała Archanioła umieszczona jest tablica z napisem:

**PAMIĘTAJCIE O NAS
MARYNARZACH FLOTYLLI RZECZNEJ PIŃSKIEJ I WISLANEJ
BOJOWNIKACH O NIEPODLEGŁOŚĆ
1919—1920.**

Którym 17 września 1939 roku wykonawszy rozkaz zatopienia flotylli na wodach Prypeci ginęli w walkach pod Kockiem i obozach.

Nie szczędził też sił na pokładach OORP na morzach świata, wierni
BOGU I OJCZYŹNIE

TADEUSZ STEC

Dwie daty są dwoma słupami milowymi w życiu każdego człowieka — ta pierwsza i ta ostatnia. Poza nimi rozciąga się sfera niebytu, całkowicie niedostępna ludzkiemu doświadczeniu, obca człowiekowi i złowroga. Na krótką chwilę dane jest każdemu z nas wyłonić się z nicości, aby tam niebawem powrócić. Czym jest więc ludzka egzystencja zawieszona między jednym a drugim niebytem?

Lękłem wobec istnienia i trwogą przed śmiercią — odpowiadał niemiecki myśliciel Martin Heidegger. W istocie — twierdził — człowiek umiera w każdym dniu swojego życia. Człowiek żyje ku śmierci i nie pozostanie mu nic innego, jak podporządkować się losowi, gdyż tylko to może go uratować od tragizmu własnego istnienia.

Tradycja filozoficzna zakwalifikowała Heideggera jako czołowego przedstawiciela egzystencjalizmu, choć on sam sprzeciwiał się przypisywaniu go do tego kierunku. Jako filozof starał się bowiem przed wszystkim odpowiedzieć na pytanie o istotę bytu. Zagadnieniu temu poświęcił swoją główną pracę „Byt i

Nieależnie od prowadzenia wykładów pisał dużo, lecz jego twórczość była przedmiotem licznych sporów. Wpływał na to przede wszystkim hermetyczny język, którym się posługiwał w swoich tekstach. Wielu komentatorów uważało je za mętne i niezrozumiałe. Zarzucano mu, że był bardziej poetą niż filozofem. Nie przeszkodziło to jednak Heideggerowi w zdobyciu wielkiej popularności szeroko kręgam akademickimi.

Jak do tego doszło? Tezy egzystencjalizmu, mówiące o kruchości życia ludzkiego i absurdalności istnienia, o samotności człowieka i tragizmie jego losu — padły na szczególnie podatny grunt w latach wielkiego kryzysu, a następnie w czasie II wojny światowej. Egzystencjalizm przeniknął wówczas z Niemiec do Francji, zyskując tu swego drugiego wybitnego przedstawiciela w osobie Jeana-Paula Sartre'a. Z mrocznego, niezrozumiałego nurtu filozoficznego egzystencjalizm stał się najmodniejszym kierunkiem myślowym. Wzbudził zainteresowanie nawet wśród ludzi nie zajmujących się filozofią, przeniknął do literatury, a jej badacze

wrzesniu 1966 roku, zezwalając na publikację dopiero po śmierci. Powiedział w nim m.in., że przyjmując funkcję rektorską kierował się dobrem uniwersytetu, gdyż istniało niebezpieczeństwo, iż „rektorem zostanie mianowany jakiś funkcjonariusz”. Twierdził też, że jako rektor sprzeciwił się wywieszaniu plakatów antyżydowskich i nie zgodził się na usunięcie z biblioteki prac autorów żydowskich.

Był więc czy nie był hitlerowcem? Przez długi czas biografowie filozofa nie mogli rozstrzygnąć pojawiających się sprzeczności i dościsłego wniosku. Dopiero przed dwoma laty wybuchła prawdziwa bomba. We Francji ukazała się książka ucznia Heideggera, Chilicyka Victora Fariasa, wykładającego filozofię w Berlinie Zachodnim. Ujawnił on nie znane do tej pory dokumenty i zeznania świadków zaprzeczające stwierdzeniu wywiadu ogłoszonego w „Der Spiegel”. Z materiałów tych wynikało, że Heidegger płacił składki członkowskie NSDAP aż do roku 1945 i nie spotkał się z jakimkolwiek nieprzyjemnościami po ustąpieniu w 1934 r. z funkcji rektora. Miał być na-

Czego lękał się Martin Heidegger

czas” wydaną w 1927 roku. Zastanawiał się, co to znaczy, że coś jest. Lecz odpowiedzi szukał nie w odniesieniu do pojedynczych, otaczających go rzeczy, a starając się wnikać w sam najgłębszy sens istnienia. I znajdował ów sens w obecności dla jakiegoś podmiotu — np. dla człowieka. W ten sposób badania Heideggera koncentrowały się wokół istoty ludzkiej egzystencji.

Urodził się przed stu laty — 26 września 1889 roku w Messkirch w Badenii, w rodzinie katolickiej. Zapewne pod wpływem ojca, który był zakrzepianiem, młody Heidegger podjął w 1909 roku studia teologiczne na uniwersytecie we Fryburgu Bryzgowijskim, po dwóch latach jednak przeniósł się na wydział filozoficzny. Tu zetknął się z głośnym twórcą nowoczesnej fenomenologii — Edmundem Husserlem. Najpierw został asystentem, a później następcą Husserla na katedrze. Jego samodzielne wykłady spotykały się z ogromnym zainteresowaniem słuchaczy. Sciągali nań studenci nawet z innych ośrodków naukowych. Heidegger okazał się niezwykle utalentowanym nauczycielem, potrafiącym ożywić problemy filozoficzne zawarte w pismach starożytnych myślicieli. Przy czym czynił to w sposób, który uczył słuchaczy myślenia.

zaczeli odkrywać wątki egzystencjalne w utworach dawno zmarłych pisarzy, m.in. u Dostojewskiego.

Tymczasem sam Heidegger nie brał udziału w tryumfalnym pochodzie egzystencjalizmu. Po wojnie wycofał się z życia akademickiego. Wiele o nim mówiono i pisano, lecz on sam wolął pozostać na uboczu, pracując nad kolejnymi książkami. Ta ucieczka w samotność miała głębsze przyczyny. Do końca życia Heideggerowi nie zapominał bowiem jego udziału w ruchu hitlerowskim. W 1933 r. Heidegger wstąpił do NSDAP. 27 maja tego roku został rektorem uniwersytetu we Fryburgu, wygłaszając wówczas apologię narodowego socjalizmu. Zdjęcie filozofa z odznaką partijną wpięta w kłapę było szeroko propagowane w Niemczech.

Po wojnie Heidegger usiłował pomniejszyć znaczenie i zakres swoich związków z hitleryzmem. Zwracał uwagę, że już w 1934 roku zrezygnował z funkcji rektorskiej. Jego zwolennicy wskazywali, że współpraca z ruchem hitlerowskim trwała zaledwie 10 miesięcy, po czym Heidegger wycofał się z NSDAP, a pozycja uczonego pogarszała się z roku na rok.

Martin Heidegger zmarł 26 maja 1976 roku. W tygodniku „Der Spiegel” z 31 V 1976 ukazał się wywiad, którego filozof udzielił jeszcze we

wet proponowany przez władze w 1935 r. na stanowisko dziekana wydziału filozoficznego. Nie jest też prawdą — stwierdza Farias — że hitlerowcy zabronili mu udziału w kongresach filozoficznych w Pradze (1934), i w Paryżu (1937), a od 1938 roku wydano zakaz cytowania i komentowania jego dzieł. Co więcej, Heidegger pomógł zadenuncjować dwóch uczonych — jednego z racji poglądów pacyfistycznych, drugiego zaś za niedostatek uczuć nazistowskich.

Po ukazaniu się książki paryski dziennik „Le Monde” napisał, że absurdem byłoby wyrzucenie na jeden śmietnik dzieł myśliciela oraz brudu aktywisty NSDAP. Dorobek intelektualny Martina Heideggera, niezależnie od jego poglądów politycznych i postawy etycznej, na trwałe wszedł do kultury europejskiej i światowej. Niemniej już za życia filozofa zaczęto szukać wytłumaczenia jego postępowania w świetle tworzonych przez niego koncepcji bytu ludzkiego.

Życie ludzkie jest określone przez lęk i trwogę — twierdził Martin Heidegger. Czy to właśnie lęk i trwoga pochłonięły go na spotkanie z faszyzmem?

LESŁAW PETERS

W stulecie urodzin MARII DĄBROWSKIEJ

„Drogo moja, wyjaśnij mi się...”

Biografowie Marii z Szumskich Dąbrowskiej krytycy i historycy literatury, zapewne jeszcze nieraz będą próbować odpowiedzieć na pytanie podobne do tego, które w 1962 r. postawił Konstanty A. Jeleński: „Dlaczego ta krucha, drobna starsza pani o miłym uśmiechu i cichym głosie cieszy się szacunkiem „elity intelektualnej” i mas czytelników, komunistów i katolików, kraju i emigracji, Gomulki i Wyszyńskiego, Schaffa i Tatarkiewicza, Słonimskiego i Putramenta, Góssmana i Kisielewskiego, Andersa i Ciolkosza?”

Czy zawdzięczała autorytet swojemu niewzruszonemu zasadom, solidarności z narodem, wobec którego nie była bezkrytyczna, kontynuowaniu tradycji radykalnej polskiej inteligencji? Nie miejsce tu, by rozstrząsać te sprawy. Zresztą wiele faktów z życia pisarki muszą poczekać na komentarz do 2005 r., kiedy to w całości będzie mógł być opublikowany jej obszerny, prowadzony od 1914 r. „Dziennik”.

Współczesne polemiki dotyczące Dąbrowskiej, zarzuty o „ogólnikowość humanizmu”, który nie wytrzymuje próby czasu, o anachronizm i nudzie jej książek, w niczym nie zmieniają faktu, że przez długie lata miała ona wielu wiernych czytelników, cieszyła się popularnością i uznaniem szerokich kręgów. Prawdziwy sukces odniosła też — jak pamiętamy — filmowa wersja „Nocy i dnia”.

Trzeba jednak przypomnieć, że Dąbrowska „nie urodziła się pisarką”, jej droga do literatury była „mozolna i okrutna”. A jej twórczość — programowo autobiografi-

czna — opierała się w znacznej mierze na dokumentach: własnych zapiskach w „Dzienniku”, pamiętnikach współczesnych i historycznych, wielokrotnie na karty jej książek wywalczyła wspomnienia dzieciństwa i rodzinnego domu w Russowie w powiecie kaliskim, który przybierał różne nazwy — Russocina, Serbinowa, Kalińka.

Pisarka nie przywiązywała większej wagi do swoich pierwszych opowiadań z tematyce młodzieńczej i spółdzielczej z tomów „Dzieci ojczyzny” (1918) i „Gałąź czereśni” (1922). Jeszcze w 1919 r. notowała w „Dzienniku”: „Drogo moja, wyjaśnij mi się spomędzy mroków”. Dopiero w 1923 r. wydała opowiadania pt. „Uśmiech dzieciństwa”, pierwszą swoją znaczącą książkę. Miała wtedy 34 lata.

Wiele doświadczeń dzieliło ją już od pensji w Kaliszu i w Warszawie, ulubionych lekcji ekonomii prowadzonych przez Ludwika Krzywkiego, zapamiętanych wydarzeń z wojny 1905 r. Potem nastąpiły studia przyrodnicze w Łożannie i Brukseli. Tu, pod wpływem Mariana Dąbrowskiego, pisulducyka, działacza PPS i Edwarda Abramowskiego, kształtowały się osobowość i światopogląd przyszłej pisarki. To właśnie głoszonej przez Abramowskiego wartościom etycznym (dobroć — braterstwo, wolność, twórczość) pozostała wierna do końca. Podobnie, jak propagowane przez niego idee spółdzielczości.

W 1911 r. Maria Szumska została żoną Mariana Dąbrowskiego. Prowadzili aktywne życie działaczy. Często roztaniali dokumentową obfitą korespondencją, która pisarka

pieczołowicie uchroniła aż do czasu powstania warszawskiego. Chciała, „zeby ludzie kiedyś zobaczyli w ośnieniu, jak w Polsce miłowano”.

Po ukończeniu studiów Dąbrowska wróciła do kraju i kontynuowała działalność publicystyczną.

Z mężem zamieszkała Dąbrowska dopiero po jego powrocie z emigracji, w 1917 r. Ich pierwsze mieszkanie mieściło się w Warszawie przy ul. Polnej, Marian Dąbrowski obawiał się, że żona może nim pogardzić „za niezdolność kariery”, raczej niechętnie odnosił się do jej planów pisarskich. Tymczasem w latach 1918—1924 pracowała ona jako urzędniczka w Ministerstwie Rolnictwa i Urzędzie Ziemiemskim.

Dzięki dobrej znajomości spraw robotników rolnych mogła przygotować komentarz do ustawy o reformie rolnej z 1920 r. W Warszawie przez cały czas czuła się kimś ze wsi. Na ile to było możliwe, wiodła wiejski styl życia. Dzień zaczynała od wypatrywania pogody, notowała w „Dzienniku” swoje obserwacje meteorologiczne, hodowała kwiaty, uprawiała działkę.

Wyzwolizy się od obowiązków urzędniczych, w 1925 r. opublikowała inspirowany ludowością tom opowiadań „Ludzie stamtąd”. Wydarzenie to zbiegło się ze śmiercią męża. W trudnych chwilach oparcie dla niej stał się Stanisław Stempowski, ziemianin z senatorskiego rodu osiadłego na Podolu, działacz socjalistyczny, intelektualista i tłumacz. Przez dwadzieścia pięć lat był on wiernym towarzyszem życia pisarki, pierwszym recenzentem jej prac, doradcą i powiernikiem.

W latach 1926—1934 Dąbrowska

dające początek Muzeum Narodowemu, a w Krakowie Muzeum Czartoryjskiemu (1876) i Narodowe w 1879, którego jubileusz właśnie święcimy. I to podobny, jako się rzekło, bo ten 10-lecie i drugi, ukończenia (nawnie) budowy Nowego (?) Gmachu, która zaczęto w latach noszenia przez siebie podpisane koszuli w żebach, czyli pół wieku temu i jeszcze trochę. Nawet dość dużo.

Co natomiast można powiedzieć o muzealnictwie i muzealnikach? Ano to, że ich praca jest trudna, odpowiedzialna i pełna niebezpieczeństw. Trudna i odpowiedzialna, bo rolę dzisiejszych, odhistoryczonych już muzeów jest dokumentowanie, czyli gromadzenie, badanie i pokazywanie sztuki. Właśnie w tej kolejności. Niebezpieczna natomiast, nie z racji możliwości zaważenia się jakiegos strupu (tfu, tfu na kota urok, bo psa szkoda).

Groźne pułapki muzealnictwa zawodu najlepiej oddaje wydarzenie z pobytu w Krakowie Franciszka Józefa zwanego dobroliwym, bo mu już nikt nie pamięta tego, że panowanie rozpoczął od rozstrzelania studentów i nie tylko ich, bo rewolucji 1848 roku. Otóż znany ze sprężystego kroku, co podkreślały przy każdej okazji gazety, Monarcha pośliznął się na muzealnych schodach i legł, zapewne sprężystość, jak długi. I co w tej, nie przewidzianej przez dworskie ceremoniał, sytuacji uczynili towarzyszący mu muzealnicy? Ano nolożyli się z całym szacunkiem wokół Najjaśniejszego Pana i czekali, aż raczył On łaskawie powstać.

Teraz muzealnicy też leżą (finansowo) i leży pontekad muzeum mimo zakończenia (?) budowy Nowego Gmachu, bo managery nadal brak, zaś pieniądze ubywa a zbiorów przybywa i przybywać będzie, bo musi (nieśle rola muzeum). Mimo zachęty ze strony Bóya nie kpie więc z Jubilat, lecz współczuje mu, bo będąc w tej samej sytuacji znakomicie Go rozumiem, zacem moje życzenia są prawdziwie szczere i serdeczne. Ad multos annos, Dostojny Jubilacie!

JERZY MADYŃSKI

ZWIERZENIA ESTETYCZNE

Przyjęła się ta zabawa i jako że w niej leży sposób, / co każdemu daje prawa / kpić z najszanowniejszych osób” pisał Boy o jubileuszach i mił rację, acz dziś już nieco dyskusyjna. Bo zauważyli Państwo zapewne, że ostatni wiek przyniósł zmianę naszego stosunku do przeszłości, z którą walczył każdy jubileusz się wiąże.

Traktowana w bojowych czasach raczej pobłażliwie, z racji swego zacofania choćby, urasta dziś do rangi niedoścignionego wzorca i azylu dobrobytu na dodatek, choćby w kwestii tak drobnej, jak zapalka. W latach galicyjskiej cesarsko-królewskiej biedy i później, dzielono ją z oszczędnością na dwie, a bywało i cztery części, jak się to działo w chwili narodzin Muzeum Narodowego, którego podwójny jubileusz obchodzimy. Dziś chcielibyśmy powrócić do tego zwycięstwa i dzielić ją nawet na sześć części, co, kiedy to się nie udaje. Nawet tym, którym dobrze przyjaciele przyniosła na imieniny pudełko tego rarytasu.

I tak od zapalek możemy zgrabnie przejść do tematów muzealnych, bo zapalka, jeśli Państwo je pamiętają, tworzą w pudełku pewien zbiór, czyli inaczej mówiąc kolekcję, a wszak oba te pojęcia są istotą muzealnictwa. Nie wiadomo natomiast kiedy kolekcje i tym samym kolekcjonerzy się pojawiły. Zapewne w czasach pierwotnej dzikości, gdy jakiś pracowniczek zebrał sobie kupa kamieni, kłów czy innych rzeczy nie ze względu na użyteczność, lecz po to żeby je po prostu mieć, jak nie przypominając sobie, a gromadząc za bliskości z bezinteresownej miłości do ich potysku.

O starożytności wiemy już nieco więcej, jak choćby to, że kolekcjonerami bywali faraonowie, z których jeden zbierał laski, zaś w Grecji Eumenes zgromadził ponad 2000 sztucznych kukłówek z onyksu. Rzymianie mieli już kolekcjonerskiego białka i zbierali wszystko co się dało z łacynnością i nutowych, którymi skądinąd byli. Dla podniesienia

splendoru rodu również. Jedni gromadzili więc sztukę wschodnią, że to niby ich przodkowie przybyli do Lacjum z trojańskim Eneaszem, inni etruską, mającą świadczyć o ich autochtonicznym pochodzeniu, a wszyscy egipskie antyki. Właśnie antyki, bo w czasie powstania Imperium i nagłego wzbogacenia się Rzymu sztuka ta miała już ponad 4000 lat! Jedynie Tyberiusz, zawodowy cesarz i bokser amator był bezinteresowny w swej pasji, kupując wyłącznie pornografie, w tym obraz ze spintami (dwóch panów i jedną panią, gdyby ktoś zapomniał), który nabył, choć sprzedający zaśpiewał cenę, od której mu się wyliczanie kędzierzawy włosy zjeżdża.

Tak powstawały kolekcje. O muzeum, noszącym imię od Museionu, czyli siedziby Muz, zwanych również, z przepro-

szaniem, Pierydami, można natomiast mówić od udostępnienia kolekcji ludziom spoza kręgu krewnych i znajomych. U nas wielkim kolekcjonerem był Zygmunt August (arrasy, których połowę, i to niecałą, można zobaczyć na Wawelu, bo reszta jest od czasu rozbiorowych rabunków jeszcze w ZSRR) i Wawowie, o których obrazach pisał Stefan Pac, że płótna wiedeńskiego dworu „nie ostoja za nasze”. Co tu zresztą dużo mówić: każdy kto miał pieniądze i możliwości iakoś tam sobie kolekcje tworzył, jak choćby ów Radziwiłł, zbierający sercu swemu bliskie kielichy do wina.

Za matkę naszego muzealnictwa uznano jednak Izabellę z Flemingów Czartoryską, damę enót wiela, choć nie wszystkich, jako że rokowała cnota nie była wykuta ze szpizu i stała, co znalazło odbicie w zdaniu galanta pewnego „Pani kocha męża w pół roku po ślubie? To przystoi moduście, ale nie markizie”, no a Pani na Puławach była przecież księżna, stojąca o szczebel wyżej od owej markizy, dla której okres wierności nie powinien przekraczać paru dni zapewne.

W Puławach też, ściślej w Świątyni Sybilla i Domku Goetyckim otwarto dwie pierwsze wystawy starożytności, jak się ówczesnie mówiło, w latach 1801 i 1809, i tak się to, proszę Państwa, zaczęło. Poszukiwanie tożsamości w dobie rozbiorów doprowadziło do lawinowego powstawa-

nia muzeów, traktowanych jako panteony naszej chwały i jadra krystalizacji narodowej świadomości, tudzież miejsca składania narodowych świętości, skąd szokujące nas ekspozyty w rodzaju urn z sercami bohaterów, których miejscem — w myśli naszych dzisiejszych pojęć — jest wyłącznie cmentarz łw kościół.

Początek daty więc Puławę, czasowe natomiast wystawy starożytności pokazano w Warszawie (1856), Krakowie (1858) i Lwowie (1861). Za nimi podążyły muzea prywatne i państwowe, a to warszawskie Zbiory Sztuk Pięknych (1863),

Czar przeszłości

Pierwsza wygrana padła w 1963 r. Do tej pory ponad dwieście osób zdobyło główną nagrodę. Dla 10 jeszcze zawodników zabrzmią finałowe fanfary „Wielkiej Gry”. Gdy 27 lat temu nieżyjący już Ryszard Serafinowicz prowadził pierwszy program, zapewne nie przypuszczał, że oto powstaje telewizyjny fenomen. „Wielka Gra” skupia przed szklanym ekranem równie wielką widownię, jak mają najpopularniejsze serie, programy sportowe i dzienniki TV.

Wiosną tego roku po raz pierwszy odbyły się eliminacje z wiedzy o Krakowie. Zakwalifikowali się tylko dwaj zawodnicy.

W dniu nagrywania programu strażnik siedzący przy wejściu do budynku przy ul. Woronicza 17 otrzymuje listę uczestników „Wielkiej Gry”. Tylko oni mogą dotrzeć labiryntem długich korytarzy do studia nr 1, w którym za kilkadziesiąt minut hobbysty zmierzają się z zawodnikami. Nagranie rozpocznie się o 17.30. Tuż przed czwartą przychodzi pierwsza zawodniczka, p. Małgorzata Kowalska. Przyjechała z Radomia, jest poligrafem. Startuje z tematu „Życie i twórczość Oskara Wilde’a”. Od chwili eliminacji minęły dwa lata. Gdy niedawno otrzymała zaproszenie do występu przed kamerami, trudno było jej podjąć decyzję. Nie przespana noc, pełna obaw i wątpliwości. Czy moje wiadomości wystarczą, by nie skompromitować się? Czy mam jakieś szanse? W końcu odpisałam — przyjeżdżam.

Jednak teraz jest zdenerwowana i niepewna. Co prawda z uśmiechem mówi, że to przecież tylko przygoda połączona z niewielkim ryzykiem, ale... „Naichetniej uciekałbym stąd”.

Gdy zauważyłam wreszcie na korytarzu starszego pana, który przegląda książkę Jana Adamczewskiego „Kraków od A do Z”, wiem już na pewno, że to Franciszek Sidelko z Chrzanowa. Jest emerytowanym górnikiem. Chwile później pojawia się jego dzisiejszy rywal — Zygmunt Krawczuk. Jest motorniczym, pracuje w krakowskim MPK.

Niektórzy nerwowo odpalają papierosa od papierosa, inni swoją niepewność kryją pod maską uśmiechów. Jest tu coś z atmosfery, jaka panuje przed salą egzaminacyjną. W chwili, gdy przedturniejowe emocje sięgają szczytu, do bufetu, gdzie zebrał się uczestnicy „Wielkiej Gry” wchodzi red. Stanisława Ryster prowadząca ten program od 1975 r. Z sympatią wita zawodników, zna wszystkich doskonale. Sprawdzaj, czy nikogo nie brakuje. Od razu robi się pogodniej i... jakby spokojniej. Wszyscy oczywiście znają zasady teleturnieju, lecz jeszcze raz przypomina:

— Proszę państwa, podczas pojedynku macie 20 sekund na odpowiedź, to bardzo mało. Więc jak ja pytam o datę lub nazwisko, to proszę udzielać konkretnych odpowiedzi, a nie krążyć wokół tematu. Zawsze możecie prosić o powtórzenie pytania. Nie odpowiadajcie od razu. Pamiętajcie, jak pan Marek przegrał z Rubinsteinem? W ogóle nie wystuchał pytania do końca, był przekonany, że chodzi o coś innego. Myślałam, że oszaleje!

Jeszcze tylko kilka minut.

W studio technicy sprawdzają słuchawki. Trzy kamery są już gotowe do filmowania. Przychodzi grupa ok. 120 widzów. Są to ci szczęśliwcy, którym udało się zdobyć zaproszenie do znanych pracujących w telewizji. Ludzie „z ulicy” nie mają szans, by tutaj wejść.

Fotele zajmują eksperci. Przewodniczący jury, docent Sikorski z pederantą poprawia przed lustrem swoją muszkę. Reżyser programu Bożena Pijanowska zachęca publiczność: — Proszę o brawa po odpowiedziach. Musimy państwa pokazywać na ekranach. Uwaga — zaczynamy! Chwila ciszy, pierwsze taktury muzyczne zapowiedzi programu i... do studia wbiega spóźniony juror. Trzeba cofnąć taśmę. Stanisława Ryster wita zawodników i widzów. Mówi o nowych stawkach — od dziś główna wygrana wynosi 800 tys. złotych.

Pierwszy temat — „Gaetano Donizetti, życie i twórczość”. Do pojedynku przystępują: student filozofii i pani inżynier, specjalistka z zakresu wiotkniennictwa. Są świetnie przygotowani. Pojedynki trzeba będzie powtórzyć.

nie brzmi: Od którego roku Polskie Radio transmituje hejnał z wieży Mariackiej? Zygmunt Krawczuk ma wątpliwości, czy chodzi o program lokalny czy ogólnopolski. Wyjawia się dyskusja. Mocno poirytowany doc. Sikorski zdecydowanie upomina zawodników, by uważniej słuchali pytań. Ten fragment nagrania zostanie potem wycięty.

I wreszcie stało się to, czego obawia się każdy uczestnik — Sidelko popełnia drugi błąd. Odpada z gry.

Zygmunt Krawczuk zostaje sam. Imponujące jest, jak rozległą wiedzę dysponuje ten młody człowiek. Pytania ekspertów dotyczą architektury średniowiecznego Krakowa, zbiorów muzealnych, najnowszej historii miasta. W tym programie konkurs nie zostanie rozstrzygnięty. Na ciąg dalszy będziemy musieli poczekać jeszcze kilka tygodni.

„Wielka Gra” to program przede wszystkim dla widzów, którzy nie mogą się nudzić.

Z tego nałogu nikt nie chce się leczyć WYGRAĆ JESZCZE RAZ...

Publiczność śledzi ruchy kamer. Sidelko i Krawczuk siedzą obok siebie. Na kolanach nadal trzymają swoje notatki i książki. Starają się jeszcze coś przeczytać, sprawdzić. A tymczasem niespodziewanie szybko dobiega końca rozgrywka między zawodnikami pasjonującymi się twórczością Wilde’a. Małgorzata Kowalska pokonyła nerwy. Nie odpowiedziała na dwa kolejne pytania.

— Pani Małgosiu, ogromnie mi przykro...

Do ilu to już zawodników musiała się w ten sposób zwrócić red. Ryster?... Ale gra toczy się dalej.

— Przystępujemy do trzeciego tematu — „Dzieje Krakowa od czasów najdawniejszych do chwili obecnej”. Sidelko ociera spocona twarz. Krawczuk poprawia krawat.

— Przedstawiam państwu ekspertów: doc. dr hab. Janusz Sikorski, prof. Tadeusz Nowak, dr Michał Klimecki.

Zawodnicy będą odpowiadali na dwadzieścia pytań. Gdy któryś z nich pierwszy popełni dwa błędy — odpadnie. Dla obydwu zadania są jednakowe. Nakładają na się słuchawki, w których podczas odpowiedzi konkurenta rozlega się muzyka. Pierwsze pytanie — Jak wygląda herb Krakowa? Odpowiadają bez kłopotów. Równie bezbłędne są następne odpowiedzi. Szóste pyta-

— Opracowywanie zestawów pytań jest niezwykle trudne. Mogą one być oparte tylko na ogólnie dostępnych polskich źródłach — mówi St. Ryster. Omawianie tych pytań z ekspertami trwa całe godziny.

— Kto proponuje tematy? Zawodnicy, eksperci, ja sama. Często otrzymujemy propozycje od widzów. Mamy wytrwałych sympatyków naszego programu, którzy już wielokrotnie grali i wygrywali. Rekord należy do p. Woźniakowskiego, który siedmiokrotnie wygrał główną nagrodę. Ale absolutnym rekordzistą jest p. Małowski z Olsztyna. Wygrał wprawdzie „tylko” dwa razy, ale startował (i nadal startuje) w konkursach dotyczących różnych dziedzin — muzyki, geografii, literatury, historii...

St. Ryster ubolewa nad tym, że wśród laureatów „Wielkiej Gry” jest bardzo mało kobiet.

— Pani mają mniejszą umiejętność koncentracji. Zdarzyło się, że dwie zawodniczki uciekiły przed samym programem. Na szczęście zawsze mamy „w pogotowiu” rezerwowanych, którzy liczą się z tym, że w ostatniej chwili będą musieli kogoś zastąpić. Oczywiście panowie także w dramatyczny sposób przeżywają swoje emocje. Np. pewien zawodnik zrezygnował tuż przed ostatnim finałowym pytaniem. (Był to pierwszy i jedyny wypadek, że ktoś nie chciał grać do

końca). Zawiodły go nerwy. Zauważyłam, jak zaczyna osuwać się z fotela, a z błądych policzków spływa mu pot.

A jednak coraz więcej osób ubiega się o udział w teleturnieju. Na każde eliminacje przyjeżdżają tłumy tych, którzy chcą wygrać tylko o raz. To oni stanowią najliczniejszą grupę bohaterów „Wielkiej Gry”. „Ełatowych” laureatów jest zaledwie kilku...

Gdy wieczorem wychodzimy z opustoszałego budynku telewizji, Zygmunt Krawczuk jakoś nie okazuje radości z pomyślnego dla siebie wyniku. Był przekonany, że pojedynek nie zostanie rozstrzygnięty. Dopiero teraz przyznaje, jak bardzo przeżywał ten konkurs. Jeszcze jest spięty, nieskory do rozmowy. Raczej niechętnie opowiada o sobie i swojej pasji. Jakies 10 lat temu wybrał się na pierwszą wycieczkę z cyklu „Zdobywamy odznakę przyjaciela Krakowa” (impreza organizowana przez redakcję „Echa Krakowa”). I tak zaczęła się jego fascynacja miastem.

Mieszka w hotelu robotniczym. Cały swój wol-

ny, żonę i sześcioro dzieci. Dwadzieścia siedem lat pracował w kopalni, pod ziemią. W 1985 roku przeszedł na emeryturę. Jest chyba jednym z najwytrwalszych uczestników „Wielkiej Gry”. Pierwszy raz wystąpił przed kamerami w 1967 r. Startował wtedy z tematu „Historia Polski od Mieszka I do 1918 r.” Nie odpowiedział na przedostatnie pytanie. Odtąd zaczął „walczyć” z pasją zawodowego gracza. Historię Księstwa Warszawskiego znał na tyle, że zakwalifikował się do pierwszego etapu. O imperium mongolskim wiedział tak dużo, że pojedynek z równie dobrze przygotowanym przeciwnikiem trzeba było powtarzać, gdyż w pierwszej rozgrywce obaj odpowiedzieli na wszystkie pytania. W latach 1986 i 1987 wygrał kolejno dwa teleturnieje — był niepokonany pod względem znajomości zarówno historii ziem odzyskanych jak i dziejów wypraw krzyżowych. Potem doszedł jeszcze do finału konkursu pt. „Warszawa w powstańach narodowych”.

— Najgorsze są te chwile przed wyjazdem. Mam ochotę rzucić to wszystko, nie pojechać. Ogromnie denerwuję się, czekając w studiu na swoją kolej. Gdy jestem już przed komisją, koncentruję się. Pamiętam, jak potworny problem miałem kiedyś z odpowiedzią na banalnie proste pytanie — Jak nazywał się astronom mieszkający w Gdańsku za czasów Jana III Sobieskiego? Wiedziałem, że to nazwisko kończy się na „-usz”, miałem je na końcu języka. W dwudziestej sekundzie wykrzyknąłem — Heweliusz!

Jest zadowolony swoim występem. Tyle przygotowań poszło na marne. Teraz czeka na zaproszenie do kolejnego programu, bo zakwalifikował się już do szóstki (!) kolejnych tematów. Jeżeli przez eliminacje przechodzi np. 8 czy 10 osób, wówczas wszystkie mają prawo do gry. Od występu pierwszej pary do udziału kolejnych miało czasem rok lub dwa, a czasem 5 lat. Jednak Franciszek Sidelko będzie czekał. On też jest „nałogowcem”. Może wygra jeszcze raz.

Nagranie tego programu odbyło się prawie miesiąc temu. Telewizowie obejrza go dziś o 18.30. Śledząc w napięciu kolejne odcinki „Wielkiej Gry” często sami próbujemy odpowiadać na zadawane im pytania. Niezależnie od ich wiedzy, w końcu poznajemy prawidłowe odpowiedzi. Dla tych, którzy chcą sprawdzić swoje wiadomości o Krakowie publikujemy kilka pytań, na które będą musieli sami odpowiedzieć. Są to fragmenty 2-etapowego testu z eliminacji. I. Gdzie pojawiła się po raz pierwszy nazwa Kraków? II. Mieszkańców liczył Kraków pod koniec panowania Kazimierza Wielkiego? W której bołnicy krakowskiej T. Kościuszko wygłosił płomienne przemówienie do Żydów wyzwalając ich od walki o wolność wspólnej ojczyzny? II. Gdzie w Krakowie znajduje się niezwykle rzadki zabytek, tzw. latarnia zmarłych z XIV wieku? Gdzie w Krakowie znajduje się Dom Turrecki, który na szczycie frontowej elewacji ma autentyczny minaret?

Być może już wkrótce konkurs zostanie powtórzony...

ANNA SIBISTOWICZ

Mawiał: Malujcie tak, aby Polska zmartwychwstała...

Rozmowa o Jacku Malczewskim

— 60 lat temu zmarł w Krakowie genialny malarz, postać bardzo mocno związana z modernizmem krakowskim, Jacek Malczewski. Zaprosiłam Pana — zwracam się do prof. IGNACEGO TRYBOWSKIEGO, dyr. TSPS w Krakowie — do rozmowy o tym artyście, sądząc, że z takiej formy przypomnienia tej postaci wyłoni się bardziej żywy jej obraz. Nie był to jedyny powód aby właśnie z Panem na ten temat porozmawiać. To przecież na budynku Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych widnieje wspaniały fryz Jacka Malczewskiego. Jego autor w październiku 1929 roku spoczął na Skałce. Jest ostatnim artystą tam pochowanym a przecież Matejko umarł wcześniej, dlatego pochowany został na Rakowicach?

— O, bo Matejko wyprosił sobie na łożu śmierci, by go nie pochowano obok Kraszewskiego, któremu nigdy nie wybaczył krytycznych uwag o obrazie Rejtana. A Malczewskiemu rzeczywiście, jako ostatniemu, bił z Wawelu Zygmunt i na Skałce nie pochowano już po nim żadnego artysty. Czy pani wie, że Malczewskiego włożono do trumny w habicie tercjarza?

— Był nim rzeczywiście, czy to skłonność do przezierania się, jaka przejawiał za życia?

— Podobno chciał się zapisać w młodości, ale Adam Chmielewski miał mu wówczas powiedzieć — Jacku taki łobuz jesteś, że już teraz myślisz o tym, jak ci będzie ładnie w habicie w trumnie! No i nie zapisał się. A co się wtedy przebiegało? Istotnie miał wyraźną predykcję do ubierania swoich modeli i siebie w dziwne a niekiedy dziwne stroje. Nie tylko w autoportretach.

— Przytoczył fragment z monografii Malczewskiego autorstwa Adama Heydela, który tak na ten temat pisze: „Pojawia się w mieście w fantastycznej, czarnej, z czerwoną podszewką i kapturem, hiszpańskiej peleryny, czarny angiel, krótkie spodnie w kratkę, żółte sztylpy, biały, miękki płaszczyk kawalerzysty zamiast kolturczyka i krakowa, miękki czarny kapelusz z wielkim rondem; takie i inne kombinacje ubiorów, to jego wynalazek i jego styl. Umie mu zresztą Jacek nadać swojego rodzaju wykwintność. Jest w tym stylu trochę kokietery i trochę pokpiwania z konwenansu”. Zostawiam jednak te zewnętrzne atrybuty przy należności do świata sztuki, załmijmy się miejscem jakie ten artysta zajął. Wkrótce po śmierci został zapomniany, dlaczego?

— Czy rzeczywiście zapomniany? Chyba jednak nie. Malczewskiego uznawano jakby „po cichu”. Nie darmo jego uczeń Zbigniew Pronaszko (pamiętajmy jego portret Cezarego Jellenty), nie darmo Piłsudski — wielbiciel Słowackiego, nie darmo szczerzy podziw i uznanie dla brata Alberta pozostawiały Malczewskiego na jednym w swoim rodzaju pozycji. Roli jakie odegrał nie sposób było podważyć.

— Jednakże krytyka nie poświęciła mu zbyt wiele uwagi.

— Gdyby ówczesnych artystów i krytyków stać było ze swoich stanowisk bronić konsekwentnie głoszących racji artystycznych, być może pozyskaliby w tym czasie dla siebie strony Malczewskiego. Alisiej uczyniono to, co z jednej strony było najgorsze a z drugiej, najlepsze: pozostawiono go w spokoju. Jakby nikomu nie przeszkadzał, jakby go nie było. To znaczy był i nie był. Trwał w pamięci kontynuatorów pokolenia Młodej Polski, dyskretnie patronował uczniom, był obecny w anegdotach. Miał swoje miejsce w historii polskiego malarstwa. Był wartościową, o której jednak nikt wyraźnie nie mówił, jaka była.

— Jego symboliczna twórczość na wskroś przepelniona była patriotyzmem, marzeniami o niepodległości Polski. Nawet podczas korekt mawiał ponoć do swoich studentów: malujcie tak, żeby Polska zmartwychwstała. To chyba sprawiło, że jego twórczość była zjawiskiem kłopotliwym. Po wojnie obserwujemy drugą jakby falę niepamięci o tym artyście. Zresztą znamy to nie tylko z przykładu Malczewskiego, że obrazowania malarstwa, przetrwanie kręgów tzw. decydenckich, powodowały usuwanie z pola widzenia obrazów o kłopotliwej wymowie.

— No właśnie. Żeby powołać to na inny przykład, przez lata nie było możliwości wystawienia Panoramy Racławickiej, która, cokolwiek by o niej mówić do sztuki należy. Towarzyszy temu nieraz nieprawdopodobne i karkołomne interpretacje obrazów i intencji artystów.

— Malczewski jak nikt inny chyba doświadczał takich zarzutów, jego twórczość szarpała najrozmaitszymi pretensjami. Dziś po latach jak się czyta o tym i śmieszno, i straszno.

— O tak, w 1953 roku np. na sesji marmajowskiej wygłoszono niezwykle rewelację na temat „Melancholii” Malczewskiego. Niejak Andrzej Jakimowicz był autorem interpretacji, która warty tu przytoczyć, choćby jako memento, że zatrudniliśmy myślimy nie warto się dzielić publicznie.

— W malowanej w studniu rocznic (!) Kościuszkowskiego powstania „Melancholii”, w wizyjnej atmosferze, w realistycznym i zamkniętym ukazaniu niepełnej sylwetki, rozciąga się sens i zamierzona przez artystę ideała treść dzieła. Są to tony nadchodzącego schyłku, tony, które się złości na

dysonansową muzykę imperialistycznej fazy w kulturze naszego narodu. W późniejszej swej twórczości stanie się też Malczewski aż nadto wymownym ilustratorem rozkładowych procesów, zachodzących w ideologii tego okresu historycznego, dochodząc w swoich obrazach powstałych po 1917 r. do wypowiedziania jawnie reakcyjnych treści politycznych. Sztandar walki narodowowyzwoleńczej, który się tak wyraźnie już zachwiał w rękach chorążego na obrazie Malczewskiego „Melancholia”, wysunął się z rąk burżuazji. Przeżył go inne ręce, ręce proletariatu, który przez etapy walk Wielkiego Proletariatu, SDKPiL, Komunistycznej Partii Polski i Polskiej Partii Robotniczej zatkneł go wreszcie na budowanym dziś rękami nas wszystkich gmachu Rzeczypospolitej Ludowej!

— Historia kołem się toczy. W 1968 roku odbyła się wielka wystawa dzieł Malczewskiego w Muzeum Narodowym w Poznaniu, kilka lat po wystawie krakowskiej, urządzonej przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych. Od tego czasu datuje się chyba nowy okres w recepcji twórczości autora „Melancholii”, „Zatrutej studni”, „Śmierci Eleni”, „Na etapie” i wielu innych wspaniałych płócien.

— Tak, ten nowy okres przyniósł wiele interesujących rozpraw o twórczości Jacka Malczewskiego. Przybliżyły one prawdę o tym wspaniałym artyście, chociaż nadal kryje się on za niejedną tajemnicą. Był bowiem niepodobny do innych współcześnie tworzących artystów, którzy byli do siebie tak czy inaczej właśnie podobni. Wielkość Malczewskiego przeczuwamy, ale nie została ona ostatecznie zdefiniowana. Artysta pozostaje Slinksem, jedną z postaci ze swych obrazów.

— Jedno wszak można powiedzieć o nim na pewno, że spośród 2000 obrazów krakowskiego malarza, wśród wielu wątków tematycznych o znaczeniu egzystencjalnym, na czoło wysuwa się idea polskiej niezawisłości narodowej. Inny malarz Jan Stanisławski miał podobno powiedzieć, że Jacek Symbolowski (coż za trafne przeinaczenie nazwiska) potrafi namalować żabę w kwasnym mleku a obok zjawie nie Polski.

— Tak, jego malarstwu w jakiś sposób wyszło to, co rzucił swoim studentom: malujcie tak aby Polska zmartwychwstała. Wzruszającą ożył niedawno w związku z 70. rocznicą odzyskania niepodległości w 1918 roku prozoc obraz — owe Nike Legionów, Zmartwychwstania, Polonie, właśnie te dezawuowane w latach 50. Malczewski w swej na wskroś subiektywnej niezależności był właśnie takim rzecznikiem ideowej sztuki, choć formy jej były inne, niż to ma miejsce dzisiaj, ucieleśnione w niezwykle malarzkich wizjach, które przecież nie pozostały tylko historycznymi dokonaniami.

— Jacek Malczewski nie był rzeźbiarzem, nie nie wiadomo nawet o takim rzeźbiarstwie dla potrzeb malarstwa jak to czynili inni artyści, Wyczółkowski czy Wyspiański. Jest jednak takie dzieło w Krakowie, o którym jakby wspomniano, a które warto tu przypomnieć nie tylko ze względów rocznicowych, ale dlatego, że można mu się przyjrzeć w całej okazałości, bo nie zasłaniają go już rusztowania. Bardzo proszę o przybliżenie czytelnikowi fryzu na Pałacu Sztuki.

— Jest to fryz płaskorzeźbiony obiegający wokół Pałacu Sztuki. Autorem tego dzieła jest Jacek Malczewski, co jest wiadome od dawna, ale jakoś monograficznie nie zajmowali się tym tematem. Projektowany na przełomie obu stuleci, stanowi istotny klucz do zagadkowego w sztuce Malczewskiego odrzucenia realizmu i przyjęcia symbolizmu. Jest faktem, że w całej epoce pomatejkowskiej nie ma tak świętego i artystycznego rozwiązywania jak ów fryz. Co więcej, chce to podkreślić, że jest to w Polsce najwęższe dzieło sztuki w swoim rodzaju, jeśli o styl modernizmu Młodej Polski idzie, ba, zasługując na to, by wejść do historii modernizmu europejskiego.

— Co przedstawia? Oczywiście skrótowo rzecz ujmując, bo każdy oglądając to dzieło doda do tego własne odczucia i interpretacje.

— Są to dwa pochody, wyruszające w przeciwnych kierunkach i spotykające się na ścieżce południowej. W pochodach widzimy artystów triumfatorów, wielkich i twórczych i tych, którym się nie powiodło. Przywódca dwóch pochodów spotkawszy się ukleki przed Muzą. Ta, jednemu podaje wieniec, drugiemu tylko gałązkę. Pęgaż jednego artysty ma dumnie rozpostarte skrzydła, ten drugi ledwo się trzyma na nogach. Oczywiście mnóstwo postaci symbolicznych, mnóstwo symboli, słowem kolejne losy tych, których Sztuka lubi i tych, których boleśnie doświadcza.

— Od refleksji na temat sztuki i kontemplowania dzieł wielkich twórców nie ubędzie nam prozaicznych problemów. Ale myśląc o nekajęcej nas hiperinflacji warte czasami, jakby na przekór wszystkiemu, poświęcić chwile uwagi wartościom trwałym, nieprzemijającym. Może wówczas łatwiej będziemy znosić odcienność? Przechodząc koło Pałacu Sztuki przy pl. Szczepańskim popatrmy w górę. Ten wspaniały fryz wykonał artysta, któremu 60 lat temu bił z Wawelu Zygmunt.

Rozmawiała: URSZULA ORMAN

Królowa sportu obchodzi w Polsce w bieżącym roku jubileusz 70-lecia istnienia. Jubileusz to smutny, gdyż nastąpił całkowity upadek dworu królowej i tylko wspomnienia pozostały tym, którzy chcą widzieć w pełnym blasku polską lekkoatletykę. Ostatnie sukcesy reprezentantów Polski na mistrzostwach świata w Helsinkach, kiedy to mistrzowie jednego sezonu — trójskożek Zdzisław Hoffman i kulomistrz Edward Sarul — zdobyli złote medale, nie były w stanie przesłonić upadku naszej lekkoatletyki. Niestety, późniejsze przesławne lanie na mistrzostwach w Stuttgarcie nie zakończyło okresu niszczenia tej dyscypliny sportu w kraju. Organizację jesteśmy dziś na poziomie krajów zamkających lekkoatletyczną stawkę, kibice z niepokojem patrzą, czy ostatnie talenty w osobach Nagórki, Partyki, Jedruski i Chmury jakimś cudem zdołają przebić się przez krajowy mur niekompetencji i osiągnąć wyniki na miarę swoich predyspozycji, czy też, co jest bardziej prawdopodobne, zaginą w szarym cieńcu naszego sportu. Wymagania współczesnego sportu przerosły możliwości sterników Polskiego Związku Lekkiej Atletyki lat 80., poza dobry-

mi wówczas rekord świata 17.03 m. Tym wyczynem przeskoczył epokę, w której przyszło mu startować. Później wyjechał do Niemiec, w środowisku starano się o nim zapomnieć (nie tylko z własnej woli), nikt jednak nie jest w stanie odebrać mu jego pozycji fenomenalnego polskiego mistrza. Były to czasy, w których potrafiliśmy jak równi z równymi walczyć z lekkoatletami Stanów Zjednoczonych, w których Polki wygrywały z najlepszymi zawodniczkami innych krajów na arenach sportowych, były także rywalki swojej uroda, nie straszac muskulaturą, czy nadmiernym owłosieniem upodabniającym kobiety do mężczyzn. Takim uosobieniem wdzięku była „za” zawodniczka AZS Kraków, mistrzyni Europy z 1958 r. w biegu na 200 m Barbara Janiszewska, obecnie Sobottowa.

W latach 1964—80 w barwach Polski startowała Irena Kirszenstein-Szeńska, lekkoatletka, która uznana została za najlepszą zawodniczkę w światowej historii tej dyscypliny sportu. Najlepsza sportsmenka w świecie roku 1974 zaczęła swoją wielką karierę w wielkim stylu. Na igrzyska do Tokio pojechała jako 18-letnia dziewczyna-

ny metode wstrząsową, najprostszą, ale zarazem najgorszą. Komitet Młodzieży i Kultury Fizycznej wyznaczył w Polskim Związku Lekkiej Atletyki komisarza w osobie jednego z twórców „Wunderteamu” Jana Mulaka. Była to największa krzywdą, jaka można było zrobić temu zasłużonemu człowiekowi, nie jest w stanie naprawić tej krzywdy nawet obecne wybranie pana Mulaka na funkcję honorowego prezesa PZLA. Swoim nazwiskiem i firmową rozkład lekkoatletyki człowieka, który kiedyś budował jej potęgę. Czy Aleksander Kwaśniewski aż tak bardzo nie lubi Jana Mulaka, że wyznaczył mu tę rolę? A może tylko „przewodniczący KMKF” podejmując taką decyzję, nie myślał...

Zadaniem komisariatu było ożywienie lekkoatletyki. Wcześniej sukces juniorów na mistrzostwach świata w Nadzie starano się wykorzystać propagandowo, jako osiągnięcie otwierające nową drogę polskiej lekkoatletyce. Faktycznie jednak Partyka czy Jedruski pod nowymi rządami zatraćili swoje wartości. Wycieczki pod wodzą komisariatu nie były już tak udane. Zaczęły się konflikty z zawodnikami, PZLA

mi chęćmi nie nie wnioś nowego do związku zarząd komisaryczny. Czy można mieć jakiegokolwiek nadzieję co do nowego Zarządu PZLA, skoro prezes Czesław Ząbeki, pełniący już tę funkcję w latach 1980—84, przyznał, że jego pierwsza kadencja przyniosła marne efekty?

O wiele bardziej sympatyczne dla jubilatki i jej wielbicieli są wspomnienia. Polski Związek Lekkoatletyczny powstał 11 października 1919 roku. Na bazie silnych ośrodków we Lwowie, Krakowie i Warszawie bardzo szybko pojawiły się na biegnach, skoczniach i rzutniach talenty światowej klasy, a symbolem stał się najwzrostochotniejszy polski sportowiec Wacław Kuchar. Polki potrafią łączyć piękno ze wspaniałym poziomem sportowym. Na Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie w 1928 roku Halina Konopacka zdobywała nie tylko pierwszy dla kraju złoty medal olimpijski w rzucie dyskiem, ale zostaje również Miss Olimpiady. Jest pierwszą wielką gwiazdą polskiej lekkoatletyki, w jej ślady szybko poszli inni. Jeszcze przed wybuchem wojny w Los Angeles Stanisława Walasiewicz w biegu na 200 m i Janusz Kusociński w biegu na 1000 m sięgają po najwyższe trofea olimpijskie. To oni zapoczątkowali wspaniałą kartę historii polskiej lekkoatletyki. Kusociński był nie tylko wspaniałym lekkoatletą, zapisał się w naszej historii również jako patriota, który zginął za ojczyznę.

Po wojnie Elżbieta Duńska-Krzesińska w skoku w dal i oszczepnik Janusz Sidło zapoczątkowały pasm sukcesów reprezentacji Polski, nazwanej za granicą „Wunderteamem”. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych „cudowny zespół” lekkoatletyczny przebiegiem wszedł do grona światowej czołówek. Były to czasy, gdy na stadionach na równi emocjonowano się wyczynami pikarzy jak Krzysztofa Chłomika, który też supergwiazdą naszego sportu Szmidta. Józef Szmidt dwukrotnie zdobywał tytuły mistrza olimpijskiego, dwa razy stawał na najwyższym podium w mistrzostwach Europy i wreszcie ustanowił fenome-



na, wróciła z trzema medalami olimpijskimi, w tym jednym złotym w sztafecie i z rekordem świata! Pani Irena osiągnęła w sporcie wszystko, co w ówczesnych czasach można było osiągnąć. Trzy złote medale olimpijskie stanowią ozdobę jej sportowej kolekcji. W latach siedemdziesiątych o sile polskiej lekkoatletyki stanowiły jeszcze takie nazwiska, jak: Grażyna Rabsztyń i cała plejada świętych płotkarek Władysław Komar, Jacek Wszoła, Tadeusz Sularski, Bronisław Malinowski czy Władysław Kozakiewicz. Oni i ich poprzednicy zdobyli dla naszego kraju 15 złotych medali olimpijskich, jako ostatni Malinowski i Kozakiewicz w Moskwie. Kiedy skończyła się ich era, rozpoczął się rozkład całej naszej lekkoatletyki.

Nie znalazł się nikt, kto potrafiłby zatrzymać proces niszczenia tej dyscypliny sportu i władze sportowe wybra-

nie potrafił tak zorganizować swoim najlepszym zawodnikom startów, aby pogodzić ich potrzeby finansowe z potrzebami reprezentacji. Za niesubordynację związaną z dodatkowymi startami Kolasy i Chmury w dewizowym mityngu ukarano tylko tego pierwszego, gdyż liczone, że Chmura zdobyłby medal w Halowych Mistrzostwach Europy. Marafonczy nie wystartowali w Pucharze Świata, gdyż, jak się okazało, nikt nie potrafił z nimi wcześniej ustalić warunków finansowych związanych z występem, jak i odpowiednio wcześniej dostosować kalendarza. Prawdziwym błażem skończyły się plany zorganizowania jubileuszowych obchodów 70-lecia PZ i przy okazji mistrzostw kraju rozgrywanych w Krakowie. Opracowano program uroczystości, rozesłano zaproszenia, po czym akademie odwołano, zapominając o tym poinformować gości zaproszonych z całego kraju i z zagranicy. W efekcie klamki krakowskiego magistratu pocałowały panie Józwiakowska, Sukniewicz, Sarna czy Sobottowa, a asystował im przy tym przybyły z RFN Edward Adamczyk. Nie brakowało skandali na samych mistrzostwach, w których wystartowało dwukrotnie mniej uczestników niż w latach poprzednich. Startujący zgodnie z regulaminem w rywalizacji młociarzy Michał Popiel z Grodna, który zawsze czuł się Polakiem i cieszył się, że w barwach Jagiellonii Białostok będzie mógł wreszcie wystąpić w mistrzostwach Polski, został zbankotowany przez swoich kolegów. Wygrał rywalizację, ale mistrzem Polski został uznany ktoś, kto w swoim mniemaniu jest lepszym Polakiem. Kto się powinien wstydzić za ten skandal? Działanie komisariatu skończyło się na dobrych chęciach, które lekkoatletyce nie pomogły. Jedyną zasługą kuratora i jego ludzi jest powołanie do życia Fundacji Polskiej Lekkoatletyki, ale czy na tej instytucji można oprzeć całą przyszłość królowej sportu?

JANUSZ KOZIOŁ

